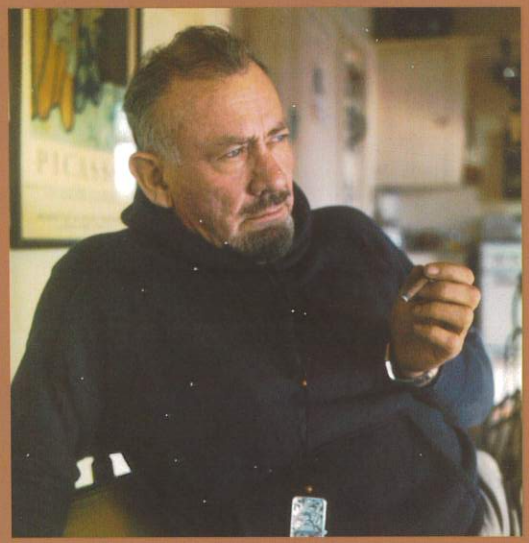

© Bettmann/Corbis/FotoChannels

John Steinbeck (1902–1968) amerykański powieściopisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla 1962 za „realistyczny i poetycki dar, połączony z subtelnym humorem i ostrym widzeniem spraw społecznych". Jego najbardziej znane powieści, obok *Myszy i ludzi*, to *Na wschód od Edenu*, *Tortilla Flat*, *Grona gniewu* i *Ulica Nadbrzeżna*. *Myszy i ludzie* były trzykrotnie przenoszone na ekran. Najbardziej znaną kreację postaci Lenniego stworzył John Malkovich.

Wkrótce nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka ukażą się kolejne znakomite dzieła autora.

MYSZY I LUDZIE

STEINBECK

MYSZY I LUDZIE

Przełożył Zbigniew Batko

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
OF MICE AND MEN

Copyright © John Steinbeck, 1937
All rights reserved

Projekt okładki
Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce
© The Image Bank / Getty Images / Flash Press Media

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Korekta
Michał Załuska

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7839-045-9

Warszawa 2012

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Gintrowskiego 28
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
ALKOR

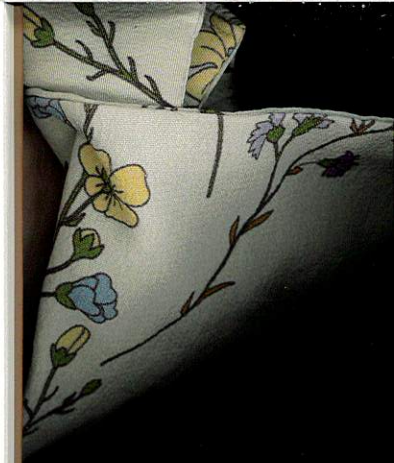

Kilka mil na południe od Soledad rzeka Salinas zbliża się do wzgórz, a jej nurt nabiera głębi i zielonkawej barwy. Woda w powstałej tu wąskiej zatoczce jest nagrzana, bo wcześniej, migocząc w słońcu, przepływa przez żółte piaski płycizny. Po jednej stronie rzeki złociste stoki przechodzą ku górze w zwarty skalny masyw gór Gabilan, ale drugi brzeg, od strony doliny, porastają drzewa – wierzby, pokrywające się każdej wiosny świeżą zielenią, choć w niższych partiach oblepione mułem naniesionym przez zimowe powodzie, i pochyłe sykomory o białawych cętkowanych pniach i gałęziach tworzących łukowate sklepienie nad wodą. Piaszczysty brzeg pokrywają grubą warstwą liście, tak wysuszone, że nawet przebiegająca wśród nich jaszczurka wywołuje głośny szelest. Wieczorem wychodzą z zarośli króliki, by posiedzieć na wilgotnych łachach piasku, poznaczonych licznymi tropami, wśród których można odróżnić drobne ślady szopów, większe – psów z okolicznych rancz, i trójkątne, rozszczepione odciski racic jeleni ściągających tu po zapadnięciu zmroku do wodopoju.

Pomiędzy wierzbami i sykomorami biegnie ubita ścieżka wydeptana przez chłopców z pobliskich

gospodarstw, którzy przychodzą tu zażywać kąpieli w głębokiej zatoczce, a także przez utrudzonych włóczęgów, schodzących wieczorem z autostrady, by rozbić nad wodą obozowisko. Pod nachylonym nisko nad ziemią poziomym konarem olbrzymiej sykomory, wypolerowanym przez tych, którzy na nim siadywali, wznosi się kopczyk popiołu pozostałego po niezliczonych ogniskach.

Wieczorem po upalnym dniu wśród liści zaszumiał wietrzyk. Cień zaczął piąć się po zboczach ku szczytom wzgórz. Króliki na piaszczystych łachach zastygły w bezruchu jak małe rzeźby z szarego kamienia. Nagle od strony autostrady dobiegł odgłos kroków; ktoś szedł, rozgarniając nogami zeschnięte liście sykomor. Króliki pierzchły bezszelestnie i ukryły się w zaroślach. Długonoga czapla wzbiła się z wysiłkiem w powietrze i poszybowała ociężale w dół rzeki. Wszystko zamarło na chwilę, po czym na otwartą przestrzeń nad zielonkawą zatoką wyszło z gęstwiny dwóch mężczyzn.

Szli ścieżką gęsiego, ale nawet gdy już zatrzymali się na brzegu, jeden przystanął za drugim. Mieli na sobie robocze drelichowe ubrania z mosiężnymi guzikami, na głowach czarne, zdeformowane kapelusze. Obaj nieśli przerzucone przez ramię ciasno zrolowane derki. Pierwszy z wędrowców był niski, poruszał się energicznie, miał śniadą twarz o ostrych, zdecydowanych rysach i niespokojne, czujne oczy. Wszystko w nim było wyraziste: drobne, silne dłonie, smukłe ramiona, wąski, kościsty nos. Drugi, zwalisty mężczyzna

o pozbawionej wyrazu twarzy, wielkich bezbarwnych oczach i szerokich barach, był jego przeciwieństwem. Stąpał ciężko jak niedźwiedź, powłócząc przy tym nogami, a jego ramiona nie kołysały się miarowo w rytmie marszu, lecz zwisały bezwładnie wzdłuż boków.

Kroczący przodem mężczyzna zatrzymał się tak raptownie, że jego towarzysz omal na niego nie wpadł. Zdjął kapelusz, zebrał palcem pot ze skórzanej wkładki i strząsnął na ziemię. Jego zwalisty kompan cisnął swoją derkę, runął na kolana i nachylił się nad zielonkawą wodą. Pił zachłannie, długimi łykami, parskając jak koń. Drobny mężczyzna krążył obok nerwowo.

– Lennie – upomniał go ostro. – Lennie, na Boga, nie pij tyle!

Tamten, niezrażony, parskał dalej. Niski mężczyzna pochylił się nad nim i potrząsnął go za ramię.

– Lennie, rozchorujesz się jak ostatniej nocy.

Pijący zanurzył w wodzie całą głowę, wraz z kapeluszem, a kiedy ją wyjął i usiadł na brzegu, woda ściekała mu strumieniami na kark i niebieską bluzę.

– O, jakie dobre – sapnął. – Łyknij też trochę, George. – Napij się, tak fest. – Roześmiał się uszczęśliwiony.

George odwiązał przytroczoną derkę i położył ją ostrożnie na ziemi.

– Nie jestem pewien, czy to dobra woda – rzekł. – Jakaś taka mętna...

Lennie zanurzył w wodzie swą wielką łapę i zaczął trzepotać palcami, wzniecając drobne bryzgi. Na powierzchni zatoczki rozeszły się kręgi, odbiły się od przeciwległego brzegu i powróciły. Lennie śledził je uważnie.

– Patrz, George! Popatrz, co zrobiłem!

George przyklęknął i raz po raz czerpiąc wodę dłonią, zaczął pić drobnymi łykami.

– Całkiem niezła – przyznał – choć przecież prawie stoi. Nigdy nie pij wody, jeśli nie płynie, Lennie. Chociaż ty żłopałbyś i z rynsztoka, gdyby cię suszyło – dodał z rezygnacją.

Chlusnął sobie wodą w twarz, przetarł mokrą dłonią podbródek i kark. Potem włożył z powrotem kapelusz, cofnął się nieco i usiadł, obejmując rękami kolana. Lennie, który pilnie mu się przyglądał, uczynił to samo. Odsunął się od wody, podciągnął kolana, objął je rękami i spojrzał na George'a, żeby się upewnić, czy siedzi dokładnie tak jak on. Zsunął nawet tak samo kapelusz na oczy.

George wpatrywał się markotnie w wodę. Powieki miał zaczerwienione od słońca.

– Dojechalibyśmy autobusem do samego rancza – powiedział ze złością – gdyby ten sukinsyn kierowca wiedział, co gada. „To tylko kawałeczek drogi autostradą – mówi. – Parę kroków". A było tego, niech go szlag, ze cztery mile! Nie chciało mu się, leniwemu skurwielowi, podjeżdżać pod bramę, i tyle! Ciekawe, czy w ogóle zatrzyma się w Soledad. Wywala nas na szosę i mówi: „To tylko kawałeczek". Założę się, że było więcej jak cztery mile. Ale cholerny upał!

– George... – Lennie zerknął nieśmiało na swego towarzysza.

– Czego?

– Gdzie my idziemy, George?

Niski mężczyzna przygiął nerwowym ruchem rondo kapelusza i spojrzał spode łba na kumpla.

– Już zdążyłeś zapomnieć? Mam ci powtarzać od nowa? Chryste, co to za pieprzony czub!

– Zapomniałem – powiedział potulnie Lennie. – Starałem się zapamiętać, jak Boga kocham, że się starałem, George.

– Okej, okej, powiem ci jeszcze raz. Jakbym nie miał nic lepszego do roboty, tylko mówić ci w kółko, żebyś ty znów zapomniał i żebym musiał ci znów powtarzać to samo.

– Tak się starałem, tak strasznie się starałem – powiedział Lennie – i nic z tego. Ale za to pamiętam o królikach.

– A idź w cholerę z królikami! Tylko to potrafisz zapamiętać. No dobra, a teraz słuchaj i tym razem dobrze wbij sobie do głowy, bo inaczej znów się w coś władujemy. Pamiętasz, jak siedzieliśmy nad tym ściekiem na Howard Street i patrzyliśmy na tę czarną tablicę? Pamiętasz?

Twarz Lenniego rozjaśnił uśmiech.

– Jasne, George, że pamiętam. Przechodziły jakieś dziewczyny i ty powiedziałeś... powiedziałeś...

– Do diabła z tym, co powiedziałem! Pamiętasz, jak poszliśmy do Murraya i Ready'ego i dali nam tam karty pracy i bilety na autobus?

– No pewnie, George. Teraz sobie przypominam. – Ręce Lenniego powędrowały pospiesznie do bocznych kieszeni bluzy. – George – rzekł cicho – ja nie mam swojej karty. Gdzieś mi się zapodziała.

– Nigdy jej nie miałeś, ty pieprzony czubku. Ja mam tutaj obie. Myślisz, że dałbym ci twoją kartę?

Lennie uśmiechnął się z ulgą.

– Zdawało mi się, że wsadziłem ją do kieszeni. – Znów wsunął tam rękę.

George spojrzał na niego surowo.

– Co ty tam wyciągnąłeś z tej kieszeni?

– Z kieszeni? Ja nic nie mam w kieszeni – odparł chytrze Lennie.

– Wiem, że tam nic nie masz, bo trzymasz to w ręce. Co tam chowasz?

– Nic, George, słowo.

– No, jazda! Dawaj to, ale już!

Lennie cofnął zaciśniętą pięść, tak żeby George nie mógł jej dosięgnąć.

– To tylko mysz.

– Mysz? Żywa mysz?

– Aha. Mysz. Ale zdechła. Ja jej nie zabiłem, słowo, George. Znalazłem ją. Znalazłem już zdechłą.

– Dawaj ją tu!

– Och, nie zabieraj mi jej, George!

– Dawaj!

Zaciśnięte palce usłuchały polecenia i wyprostowały się powoli. George wziął mysz i cisnął ją w krzaki po drugiej stronie zatoczki.

– A w ogóle, to po co ci zdechła mysz?

– Mogłem ją sobie gładzić palcem, jakeśmy szli – odparł Lennie.

– No więc nie będziesz się bawił myszami, jak idziesz ze mną. A pamiętasz, dokąd teraz idziemy?

Zaskoczony pytaniem Lennie ukrył ze wstydem twarz między kolanami.

– Znów zapomniałem.

– Chryste – rzekł George z rezygnacją. – Będziemy pracować na ranczu, tak jak wtedy, na północy.

– Na północy?

– W Weed.

– Ach, tak. Pamiętam. W Weed.

– To ranczo, do którego idziemy, jest jakieś ćwierć mili stąd. Musimy pogadać z gospodarzem. A teraz uważaj: ja mu dam nasze karty pracy, a ty nie piśniesz nawet słówka. Będziesz tylko stał i ani pary z gęby. Jeśli gospodarz zwącha, jaki z ciebie pieprzony czub, nici z roboty. A jak zobaczy cię przy robocie, zanim usłyszy twoją gadkę, to wszystko będzie cacy. Chwytasz?

– Pewnie, George. Jasne, że chwytam.

– Okej. Więc co masz robić, jak pójdziemy do gospodarza?

– Mam... mam... – na twarzy Lenniego malował się nadludzki wysiłek – ...mam nic nie gadać. Tylko stać.

– Klawo. Zuch z ciebie. Teraz powtórz to sobie parę razy, żebyś przypadkiem nie zapomniał.

– Mam nic nie gadać... mam nic nie gadać... mam nic nie gadać... – mamrotał pod nosem Lennie.

– Okej – rzekł George. – I masz nie nabroić, jak wtedy w Weed.

Lenny spojrzał na niego speszony.

– Jak wtedy w Weed?

– Jużeś zapomniał? To może lepiej ci nie przypominać, bo znów coś wykręcisz.

Twarz Lenniego rozjaśniła się nagle, jakby doznał olśnienia.

– Wygnali nas z Weed! – wykrzyknął triumfalnie.

– Gówno, nie wygnali – powiedział George z niesmakiem. – Daliśmy nogę. Szukali nas, ale nas nie dopadli.

– To pamiętam, a jakże! – Lennie zachichotał radośnie.

George wyciągnął się na piasku i podłożył ręce pod głowę. Lennie natychmiast zrobił to samo, zerkając, żeby się upewnić, czy naśladuje go dokładnie.

– Boże, ile ja mam z tobą kłopotów – westchnął George. – A byłoby tak fajnie, gdybyś nie siedział mi na karku. Życie byłoby takie proste. Może miałbym nawet jakąś dziewczynę...

Lennie leżał przez chwilę w milczeniu, po czym rzekł z ufnością:

– Dostaniemy robotę na ranczu, George.

– No tak, tyle skapowałeś. Ale spać będziemy tutaj. Mam swoje powody.

Dzień gasł szybko. Tylko szczyty gór lśniły jeszcze w świetle słońca, uchodzącym z doliny. Przez zatoczkę przemknął wąż wodny, z głową uniesioną jak miniaturowy peryskop. Trzciny chwiały się lekko, poruszane prądem wody. Gdzieś daleko, na autostradzie, słychać było nawoływania jakiegoś mężczyzny; drugi odpowiedział mu po chwili. Łagodny wietrzyk zaszeleścił w liściach sykomor i zaraz ucichł.

– Czemu nie pójdziemy na ranczo i nie zjemy kolacji, George? Teraz mają kolację na ranczu.

George przewrócił się na bok.

– Zapomnij o tym. Mnie tu dobrze. Jutro pójdziemy do roboty. Widziałem po drodze młocarnię, a to znaczy, że będziemy targać wory z ziarnem, aż nam grzbiety popękają. A dziś poleżę sobie tutaj i pogapię się w niebo. Dobrze mi tu.

Lennie podniósł się na kolana i spojrzał na niego z góry.

– To nie będzie kolacji?

– Pewnie, że będzie, jak nazbierasz trochę suchych

patyków wierzbowych. Mam w tobołku trzy puszki fasoli. Rozpalisz ognisko. Dam ci zapałki, jak już nazbierasz patyków. Podgrzejemy fasolę i będzie kolacja.

– Ja lubię fasolę z keczupem – powiedział Lennie.

– Ale nie ma keczupu. Idź nazbierać patyków. I nie marudź z tym za bardzo, bo robi się ciemno.

Lennie dźwignął się ociężale z ziemi i po chwili zniknął w zaroślach. George leżał sobie dalej, pogwizdując z cicha. Nagle od strony, w której zniknął Lennie, rozległ się plusk wody. George przestał gwizdać i wytężył słuch.

– Biedny sukinsyn – mruknął, a potem zaczął znów pogwizdywać.

Po chwili z krzaków wynurzył się Lennie. Niósł jedną wierzbową gałązkę. George usiadł raptownie.

– No dobra – rzekł surowo. – Dawaj tę mysz.

Lennie usiłował przybrać minę niewiniątka.

– Jaką mysz, George? Ja nie mam żadnej myszy.

George wyciągnął rękę.

– No, jazda, dawaj ją! I nie próbuj mnie nabierać!

Lennie zawahał się, cofnął i spojrzał spłoszonym wzrokiem w stronę zarośli, jakby rozważał, czy nie czmychnąć.

– Oddasz mi ją po dobroci czy mam ci przyłożyć?

– Ale co mam ci oddać, George?

– Już ty dobrze wiesz, co, do cholery! Dawaj tę mysz!

Lennie sięgnął z ociąganiem do kieszeni.

– Nie wiem, czemu nie mogę jej mieć – powiedział łamiącym się głosem. – To niczyja mysz. Ja jej nie ukradłem. Leżała na drodze.

Wyciągnięta władczo ręka George'a nie cofała się. Z oporami, jak terier, który nie chce oddać piłki

swemu panu, Lennie zbliżył się, cofnął, podszedł znowu. George zniecierpliwiony strzelił palcami i Lennie jak na komendę położył mu mysz na dłoni.

– Nie robiłem nic złego, George. Tylko ją głaskałem.

George wstał i cisnął mysz w ciemniejące krzaki, jak mógł najdalej. Potem podszedł do wody i umył ręce.

– Ty głupi wariacie! Myślałeś, że nie zauważę twoich mokrych nóg i nie domyślę się, że wlazłeś po nią do wody? – Usłyszał, że Lennie szlocha, i odwrócił się gwałtownie w jego stronę. – Jezu Chryste! Taki wielki chłop, a beczy jak niemowlę!

Wargi Lenniego drżały, w oczach wezbrały mu łzy.

– No, Lennie. – George położył mu rękę na ramieniu. – Nie zabrałem ci jej, żeby ci zrobić na złość. Ta mysz zaczynała cuchnąć. A poza tym rozgniotłeś ją na placek tym głaskaniem. Znajdę ci nową i będziesz mógł ją sobie trochę potrzymać.

Lennie usiadł ze zwieszoną głową.

– Nie wiem, skąd wziąć inną mysz. Pamiętam, że jedna taka pani dawała mi zawsze myszy, jak je złapała. Ale tu nie ma tej pani.

– Pani, powiadasz? – rzekł drwiąco George. – Nawet nie pamiętasz, kto to był. To była twoja ciotka Klara. A przestała ci dawać myszy, bo je zawsze dusiłeś.

Lennie spojrzał na niego ze smutkiem.

– Takie były malutkie – usprawiedliwiał się. – Ja je głaskałem, a one gryzły mnie w palce, no to ściskałem im trochę łebki, a one od razu zdychały, takie były malutkie. Ach, jak bym chciał, żebyśmy już mieli króliki! One nie są takie małe.

– Do diabła z królikami! Swoją drogą, tobie nie można dać żywej myszy. Ciotka Klara dała ci kiedyś gumową, ale taka ci nie pasowała.

– Nie dało się jej głaskać – rzekł Lennie.

Ognisty blask zachodzącego słońca spełzł ze szczytów, na dolinę spłynął zmierzch i półmrok zapanował wśród wierzb i sykomor. Wielki karp wynurzył głowę z wody, zaczerpnął powietrza i zniknął tajemniczo w ciemnej toni, pozostawiając kręgi na wodzie. W górze znów zaszeleściły liście, porwane wiatrem kłaczki wierzbowych bazi osiadły na powierzchni zatoki.

– Pójdziesz w końcu po ten chrust? – zapytał George. – Za tą sykomorą leży pełno patyków naniesionych przez prąd. Pozbieraj je.

Lennie obszedł drzewo i po chwili wrócił z naręczem suchych gałęzi i liści. Rzucił je w popiół po dawnym ognisku i ruszył po następną porcję. Była już prawie noc. Tuż nad wodą, muskając niemal skrzydłem jej lustro, przemknął gołąb. George podszedł do sterty i podpalił suche liście. Płomień strzelił w górę spomiędzy gałązek i natychmiast zaczął je lizać. George rozwinął węzełek i wyjął z niego trzy puszki fasoli. Postawił je przy ogniu tak, by nie sięgały ich płomienie.

– Starczyłoby tej fasoli dla czterech chłopa – powiedział.

Lennie spojrzał na niego ponad ogniem.

– Ja lubię fasolę z keczupem – powtórzył z tępym uporem.

– Ale go nie mamy – wybuchnął George. – Zawsze zachciewa ci się tego, czego nie ma. Boże, jakie proste byłoby życie, gdybym był sam! Miałbym stałą robotę,

zasuwałbym i miałbym święty spokój. Żadnych kłopotów, a pod koniec miesiąca zgarnąłbym swoje pięć dych, poszedłbym do miasta i mógłbym dostać wszystko, czego dusza zapragnie. Zabawiałbym się w burdelu przez całą noc. Mógłbym jeść, gdzie mi się podoba, w hotelu albo gdzie indziej, i zamawiać, co bym chciał. I tak, cholera, co miesiąc. Kupiłbym galon whisky i rżnąłbym w karty albo w bilard.

Lennie przyklęknął i patrzył ponad ogniskiem na zirytowanego George'a. Twarz miał stężałą z przerażenia.

– A co mam zamiast tego? – ciągnął George z wściekłością. – Ciebie! Nie możesz się utrzymać w żadnej robocie, a i ja tracę każdą przez ciebie i muszę się włóczyć po całym stanie. To jeszcze nie jest najgorsze. Wciąż się w coś pakujesz. Wciąż odwalasz jakieś numery, a ja cię muszę z tego wyciągać. – George prawie krzyczał. – Ty pieprznięty sukinsynu! Przez ciebie wciąż pakuję się w jakieś gówno! – Przybrał ton przedrzeźniających się smarkul: „Ja chciałem tylko dotknąć jej sukienki... Chciałem tylko ją pogłaskać jak mysz...". Skąd ona, do diabła, miała wiedzieć, że chciałeś tylko dotknąć jej sukienki? Dziewucha się wyrywa, a ty ją ściskasz, jakby to była mysz. Narobiła wrzasku i musieliśmy się przez cały dzień chować w rowie przed facetami, co nas szukali. A potem wiać stamtąd po ciemku, gdzie pieprz rośnie. Ciągle coś takiego odwalasz, bez przerwy! Najlepiej wsadziłbym cię do klatki z milionem myszy i bawiłbyś się ile wlezie. – Nagle cała jego złość wyparowała. Spojrzał przez ogień na udręczoną twarz Lenniego i zawstydzony utkwił wzrok w płomieniach.

Było już zupełnie ciemno, ale ogień oświetlał pnie drzew i wygięte gałęzie nad głowami mężczyzn. Lennie wolno, ostrożnie okrążył na czworaka ognisko, aż znalazł się obok George'a. Przysiadł na piętach. George udawał, że go nie widzi. Obrócił puszkę z fasolą, aby nagrzała się od drugiej strony.

– George – szepnął Lennie ledwie dosłyszalnie. Żadnej odpowiedzi. – George!

– Czego?

– Ja tylko żartowałem. Wcale nie chcę fasoli z keczupem. Nie tknąłbym go, nawet jakby tu stał.

– Jakby był, tobyś dostał.

– Nie ruszyłbym go, George. Zostawiłbym wszystko tobie. Mógłbyś polać sobie fasolę do woli, a ja nawet bym go nie tknął.

George wciąż patrzył posępnie w ogień.

– Kiedy sobie pomyślę, jakie miałbym bez ciebie fajne życie, to aż mi odbija. Nie mam z tobą chwili spokoju.

Lennie wciąż klęczał. Zapatrzył się w ciemność za rzeką.

– George, czy ty chcesz, żebym sobie poszedł i zostawił cię samego?

– A dokąd ty, do cholery, mógłbyś pójść?

– Mógłbym. Poszedłbym w góry i znalazłbym tam sobie jakąś jamę.

– Tak? A co byś jadł? Nie masz na tyle pomyślunku, żeby skombinować coś do żarcia.

– Coś bym zawsze znalazł. Nie muszę jeść samych dobrych rzeczy, z keczupem i w ogóle. Leżałbym sobie na słońcu i nikt by na mnie nie krzyczał. A jakbym złapał mysz, tobym ją sobie trzymał. Nikt by mi jej nie zabrał.

George rzucił mu krótkie, badawcze spojrzenie.

– Byłem wredny, co?

– Jak mnie nie chcesz, to mogę iść w góry i znaleźć sobie jamę. Mogę sobie iść choćby zaraz.

– Nie, słuchaj, Lennie, ja tylko tak żartowałem. Chcę, żebyś został. A z tymi myszami chodzi tylko o to, że zawsze je zabijasz. – Zamilkł na chwilę. – Wiesz co, Lennie? Jak tylko nadarzy się okazja, dostaniesz ode mnie szczeniaka. Może go nie udusisz. To lepsze od myszy. I można go mocniej głaskać.

Lennie nie połknął haczyka. Wyczuł, że teraz on ma przewagę.

– Jak mnie nie chcesz, to tylko powiedz, a od razu pójdę w góry i będę tam żył sam. I nikt mi nie zabierze myszy.

– Chcę, żebyś został, Lennie. O Jezu, przecież jak będziesz sam, to jeszcze wezmą cię za kojota i zastrzelą. Nie, zostań ze mną. Ciotka Klara, choć nie żyje, na pewno nie chciałaby, żebyś się pałętał po świecie sam.

– Opowiedz mi… tak jak kiedyś – zagadnął go chytrze Lennie.

– O czym?

– O królikach.

– Ty mnie tu nie podpuszczaj – odburknął George.

– No, George. Opowiedz, co? Tak jak kiedyś – nalegał Lennie.

– Rajcuje cię to, no nie? No dobrze, opowiem ci, a potem zjemy kolację.

Głos George'a nabrał głębi. Wymawiał słowa rytmicznie, jakby już nieraz recytował ten tekst.

– Tacy jak my, co to pracują na ranczach, to

najbardziej samotni goście na świecie. Nie mają rodziny. Nie mają własnego kąta. Przychodzą na ranczo, zarobią trochę forsy, a potem idą do miasta i przepuszczają wszystko. I zanim się obejrzysz, już zasuwają na inne ranczo. Nie mają żadnej przyszłości ani planów.

Lennie był wniebowzięty.

– No właśnie. A teraz powiedz, jak to jest z nami.

– Z nami to całkiem inna sprawa. My mamy przyszłość. Mamy do kogo otworzyć gębę, mamy kogoś, kto się choć trochę nami przejmuje. Nie musimy siedzieć w żadnej knajpie i przepuszczać forsy, jak ci, co nie mają się gdzie podziać. Jak taki gość trafi do paki, to może tam zgnić i nikt palcem nie kiwnie. Ale z nami jest inaczej.

– Z nami jest całkiem inaczej – powtórzył Lennie. – A dlaczego? Bo… bo ja mam ciebie, a ty masz mnie. Właśnie dlatego. – Roześmiał się radośnie. – Mów dalej, George!

– Umiesz to już na pamięć. Możesz dalej zasuwać sam.

– Nie, mów ty. Ja już trochę zapomniałem. Opowiedz, jak to będzie.

– No, dobra. Kiedyś uskładamy trochę forsy i będziemy mieli własny domek i kilka akrów, i krowę, i parę świń, i…

– I będziemy żyli z tego, co da ziemia! – zawołał Lennie. – I będziemy mieli króliki! Mów dalej, George, opowiedz, co będziemy mieli w ogrodzie i o klatkach z królikami, o deszczu w zimie i o piecu, i o śmietanie na mleku, takiej gęstej, że można ją kroić nożem. Opowiadaj o tym, George.

– Czemu sam nie opowiesz? Przecież wiesz to wszystko.

– Nie, mów ty. Jak mówię ja, to nie jest to samo. No, George, mów. Powiedz, jak będę doglądał królików.

– No więc – podjął opowieść George – będziemy mieli duży zagon warzyw, zagrodę dla królików i kurcząt. A kiedy zimą będzie padało, powiemy sobie po prostu: „A, diabli z robotą", napalimy porządnie w piecu i będziemy słuchać, jak deszcz bębni o dach. Ech, głupoty! – Wyciągnął z kieszeni scyzoryk. – Starczy tego dobrego.

Wbił ostrze w jedną z puszek, otworzył ją i podał Lenniemu. Potem otworzył drugą puszkę. Wyciągnął z bocznej kieszeni dwie łyżki i podał jedną swemu towarzyszowi.

Siedzieli przy ognisku, pakowali fasolę do ust i przeżuwali pracowicie. Kilka pojedynczych ziaren wymknęło się Lenniemu z ust. George podniósł do góry łyżkę.

– Co powiesz jutro, kiedy gospodarz cię o coś zapyta?

Lennie przestał żuć i przełknął fasolę. Na jego twarzy malowało się skupienie.

– Ja... ja... nic nie powiem.

– Zuch. W porządku, Lennie. Może trochę ci się polepsza. Jak będziemy już mieli te parę akrów, pozwolę ci doglądać królików. A już na pewno, jeśli będziesz pamiętał, co masz robić, tak jak teraz.

Lennie wprost pęczniał z dumy.

– Ja umiem zapamiętać różne rzeczy – zapewnił.

George znów zaczął wymachiwać łyżką.

– Słuchaj, Lennie. Chciałbym, żebyś się rozejrzał.

Potrafisz zapamiętać to miejsce, co? Ranczo jest jakieś ćwierć mili stąd. Trzeba tylko iść wzdłuż rzeki.

– Jasne, że zapamiętam – zapewnił go Lennie. – Przecież pamiętałem, że mam się jutro nie odzywać, no nie?

– Zgadza się, pamiętałeś. No więc posłuchaj mnie, Lennie. Jeśli znów coś nabroisz, tak jak zwykle, masz przyjść prosto tutaj i schować się w krzakach.

– Schować się w krzakach – powtórzył powoli Lennie.

– Schowasz się w krzakach i będziesz siedział, dopóki po ciebie nie przyjdę. Potrafisz to zapamiętać?

– Jasne, że potrafię, George. Schować się w krzakach, dopóki nie przyjdziesz.

– Ale ty nic nie nabroisz, bo inaczej nie pozwolę ci doglądać królików. – George cisnął pustą puszkę w zarośla.

– Nic nie nabroję, George. I nie pisnę ani słowa.

– Okej. Przynieś tutaj do ognia swoją derkę. Będzie się tu dobrze spało z niebem i liśćmi nad głową. Nie dorzucaj do ogniska. Niech wygaśnie.

Rozpostarli derki na piasku. W miarę jak przygasał płomień, zmniejszał się krąg światła, znikały nachylone gałęzie i tylko blada poświata wydobywała z mroku pnie drzew.

– Śpisz, George? – odezwał się w ciemności Lennie.

– Nie. Czego chcesz?

– Będziemy mieli króliki różnych kolorów.

– Jasne – odpowiedział sennie George. – Czerwone, niebieskie, zielone... Miliony królików.

– I takie puszyste, George, jak te, co je widziałem na targu w Sacramento.

– No jasne, że puszyste.

– Bo ja mogę sobie pójść i żyć w jamie, George.

– A idź sobie choćby w diabły! – rzekł George. – Zamknij się wreszcie.

Dogasające ognisko rzucało czerwony blask. Na wzgórzu od strony rzeki zawył kojot, z drugiego brzegu odpowiedziało mu ujadanie psa. Liście sykomor szeptały, poruszane łagodnym, nocnym wietrzykiem.

Barak był długim prostokątnym budynkiem, ze ścianami pobielonymi wapnem i podłogą z surowych, niemalowanych desek. W trzech ścianach były małe kwadratowe okna, w czwartej solidne drzwi z drewnianym skoblem. Pod ścianami stało osiem prycz; pięć było zasłanych kocami, na trzech leżały siennik z workowego płótna. Nad każdą pryczą przybita była skrzynka na jabłka, z przegródką, zastępująca półkę na osobiste rzeczy właściciela posłania. Na półkach tych pełno było rozmaitych drobiazgów: mydeł do golenia, pojemniczków z talkiem, brzytew i tanich kolorowych magazynów, tak popularnych wśród robotników na farmach, którzy lubią sobie z nich pokpiwać, ale w skrytości ducha wierzą we wszystko, co się w nich wypisuje. Leżały tam też lekarstwa, jakieś flakoniki i grzebienie. Na gwoździach wbitych w skrzynki wisiało parę krawatów. Pod jedną ze ścian stał czarny żeliwny piecyk z rurą wychodzącą przez sufit. Pośrodku pomieszczenia królował duży kwadratowy stół, zarzucony kartami do gry i obstawiony skrzynkami pełniącymi funkcję stołków.

Była dziesiąta rano; w padającej przez jedno z okien ukośnej smudze słonecznego światła kłębił się kurz i śmigały muchy, niczym spadające gwiazdy.

Drewniany skobel poruszył się i w drzwiach stanął stary, wysoki mężczyzna o przygarbionych ramionach. Miał na sobie niebieski roboczy drelich, w jednej ręce dzierżył szczotkę do zamiatania. Za nim wszedł George, a za George'em Lennie.

– Gospodarz spodziewał się was wieczorem – powiedział stary. – Pieklił się, że nie zaczęliście roboty od rana. – Machnął prawą ręką: z rękawa koszuli wysunął się kikut, który wyglądał jak zaokrąglony drewniany klocek.

– Możecie se wziąć te dwa wyrka – wskazał na prycze obok pieca.

George podszedł do pryczy i rzucił swoją derkę na wypchany słomą jutowy worek imitujący siennik. Zajrzał do skrzynki i wyciągnął stamtąd małą, żółtą puszkę.

– Co to jest, do diabła?

– A bo ja wiem? – wzruszył ramionami stary.

– Tu stoi napisane: „Tępi skutecznie wszy, pluskwy, karaluchy i inne robactwo" – przeczytał George. – Coś ty nam dał za wyrka? Nie chcemy, żeby nas oblazły mendy.

Stary przerzucił szczotkę, przycisnął ją łokciem do boku i wyciągnął zdrową rękę po puszkę. Uważnie przeczytał napis na etykietce.

– A, już wiem – rzekł wreszcie. – Na tym łóżku spał jeden kowal. Fajny facet i czyścioch jak nie wiem co. Ręce mył nawet po jedzeniu.

– To jakim cudem złapał wszy? – W George'u zaczął narastać gniew.

Lennie położył swój tłumok na sąsiedniej pryczy, usiadł na niej i gapił się na George'a z otwartymi ustami.

– No więc tak – rzekł stary. – Ten kowal, Whitey, używał tego zawsze, nawet jak nie było żadnego robactwa. Tak dla pewności, no nie? Powiem wam, co on jeszcze odwalał: jak obierał gotowane kartofle, to wydłubywał każdą, choćby najmniejszą plamkę. A jak zobaczył czerwoną plamkę na jajku, to ją zeskrobywał. W końcu odszedł stąd przez żarcie. Taki to był czyścioch. W niedzielę elegantował się, nawet jak nigdzie nie szedł. Zakładał krawat i siedział w nim w baraku.

– No, dziwne – powiedział George sceptycznie. – To czemu niby odszedł?

Stary wetknął puszkę do kieszeni i potarł wierzchem dłoni szczeciniasty siwy zarost.

– Hm, poszedł sobie tak, po prostu, jak to bywa. Mówił, że to przez żarcie. Nosiło go po świecie. Ale mówił, że tylko przez żarcie. Po prostu jednego wieczoru powiedział: „Dajcie mi moją wypłatę", i poszedł.

George uniósł swój siennik i zajrzał pod spód. Poddał też dokładnym oględzinom sam worek. Lennie natychmiast wstał i zrobił to samo. Ostatecznie George'a zadowoliły chyba wyniki inspekcji, bo rozwinął tłumok i zaczął układać w skrzynce swoje rzeczy – brzytwę, kawałek mydła, grzebień, buteleczkę z tabletkami, płyn do nacierania i skórzaną opaskę na nadgarstek. Potem zasłał starannie pryczę.

– Coś mi się widzi, że lada chwila wpadnie tu gospodarz – rzekł stary. – Pieklił się jak cholera, że nie było was tu od rana. Jedliśmy właśnie śniadanie, a on

przyszedł do baraku i pyta: „Gdzie są, do cholery, ci nowi?". I strasznie opierniczył stajennego.

George wygładził derkę i usiadł na pryczy.

– Opierniczył stajennego, powiadasz?

– No. Ten stajenny to czarnuch.

– A, czarnuch, mówisz?

– Tak, ale to porządny chłop. Ma przetrącony grzbiet, bo go koń kopnął. Gospodarz zawsze się na nim wyżywa, jak się wścieknie. Ale on ma to gdzieś. Dużo czyta. Ma u siebie książki.

– A gospodarz? Jaki on jest?

– Właściwie to w porządku. Czasem mu coś odbije, ale tak w ogóle to jest w porządku. Wiecie na ten przykład, co zrobił na święta? Przytargał do baraku galon whisky i powiada: „Napijcie się, chłopaki. Boże Narodzenie jest raz do roku".

– O rany, cały galon whisky?

– A jak. Jezu, aleśmy mieli zabawę! Pozwolili wtedy czarnemu przyjść tu do nas. Taki jeden mały parobek, Smitty się nazywał, wdał się z Murzynem w bójkę. Był już fest narąbany. Chłopaki nie pozwolili kopać, więc czarny go załatwił. Smitty mówił potem, że jakby mu dali walić z kopyta, to zabiłby czarnucha. Ale chłopaki uważali, że skoro Murzyn ma przetrącony grzbiet, to Smitty nie może kopać. – Zamilkł i przez chwilę z lubością rozpamiętywał tamten wieczór. – A potem wszyscy poszli do Soledad i tam dopiero pohulali jak się patrzy. Ale mnie już tam nie było. Padłem.

Lennie kończył właśnie słać swoje łóżko, gdy skobel znów podskoczył i drzwi się otworzyły. W progu stanął krępy, mocno zbudowany mężczyzna. Miał

na sobie niebieskie drelichowe spodnie, flanelową koszulę, czarną, rozpiętą kamizelkę i czarną marynarkę. Kciuki trzymał wetknięte za pas, po obu stronach kwadratowej stalowej klamry. Na głowie miał przybrudzonego, brązowego stetsona, na nogach buty na podwyższonym obcasie, z ostrogami, co miało świadczyć, że nie jest robotnikiem.

Stary rzucił mu szybkie spojrzenie i zaczął boczkiem przesuwać się w stronę wyjścia, pocierając zwiniętą w kułak dłonią zarośnięte policzki.

– Tylko co przyszli – rzucił pospiesznie i przemknął obok gospodarza ku drzwiom.

Gospodarz wszedł do baraku energicznym krokiem krótkonogiego grubasa.

– Pisałem do Murraya i Ready'ego, że potrzebuję dwóch robotników na dzisiaj rano. Macie karty pracy?

George sięgnął do kieszeni, wyjął dokumenty i podał je gospodarzowi.

– Agencja jest w porządku. Tu piszą, że mieliście się stawić do roboty od rana.

George przyglądał się swoim butom.

– Kierowca autobusu nas wykiwał. Musieliśmy zasuwać dziesięć mil na piechotę. Powiedział, że jesteśmy na miejscu, a wcale nie byliśmy. A rano nikt nie chciał nas podrzucić.

Gospodarz spojrzał na niego z ukosa.

– Musiałem rano wysłać do młocarni dwóch ludzi mniej. Teraz do obiadu nie mam dla was roboty.

Wyciągnął z kieszeni notes i otworzył w miejscu założonym ołówkiem. George spojrzał znacząco na Lenniego, a ten kiwnął głową na znak, że rozumie. Gospodarz poślinił ołówek.

– Jak się nazywasz?

– George Milton.

– A ty?

– On się nazywa Lennie Small – odpowiedział George.

Nazwiska zostały zapisane.

– No więc dziś mamy dwudziestego, zgadza się? Dwudziesty, godzina dwunasta – gospodarz zamknął notes. – Gdzie pracowaliście wcześniej?

– W okolicach Weed – odpowiedział George.

– Ty też? – zwrócił się gospodarz do Lenniego.

– Tak, on też – rzekł George.

Gospodarz wycelował w Lenniego palcem.

– Nie jest zbyt rozmowny, co?

– Nie gada wiele, ale za to pracuje za dwóch. Jest silny jak byk.

Lennie uśmiechnął się do siebie.

– Silny jak byk – powtórzył.

George skarcił go wzrokiem i Lennie spuścił głowę zawstydzony tym, że się zapomniał.

– Słuchaj no, Small – odezwał się znienacka gospodarz. Lennie podniósł głowę. – Co umiesz robić?

Przerażony wzrok Lenniego szukał ratunku u George'a.

– Umie wszystko, co mu się każe – rzekł George. – To dobry parobek. Może dźwigać worki z ziarnem, umie prowadzić kultywator. Może robić wszystko. Dajcie mu tylko spróbować.

– A czemu on sam nie odpowie? – zwrócił się gospodarz do George'a. – Co ty tu kombinujesz?

– Nie mówię, że jest bystry, bo nie jest. Ale to dobry robotnik. Może dźwignąć czterystufuntowy ciężar.

Gospodarz wsunął z wolna notes do kieszeni. Wetknął znów kciuki za pas i i spojrzał na George'a spod oka.

– Co ty kombinujesz?

– Że co?

– Jaki masz w tym interes? Zabierasz mu jego dolę, czy jak?

– Gdzie tam! Niby dlaczego mam kombinować?

– Bo jeszcze nigdy nie widziałem, żeby jakiś robotnik tak się troszczył o drugiego. Chcę tylko wiedzieć, jaki masz w tym interes.

– On jest... jest moim kuzynem. Obiecałem jego starej, że się nim zaopiekuję. Jak był mały, koń kopnął go w głowę. Ale jest w porządku, choć nie za bystry. I zrobi wszystko, co mu pan każe.

Gospodarz odwrócił się w stronę drzwi.

– Do dźwigania worków z jęczmieniem rozum niepotrzebny, to święta prawda. Ale nie próbuj mnie kołować, Milton. Będę miał oko na ciebie. Dlaczego rzuciliście robotę w Weed?

– Bo się skończyła – odparł pospiesznie George.

– Jaka to była robota?

– Kopaliśmy szambo.

– No dobra. Ale nie próbuj mnie kiwać, bo ci się nie uda. Widziałem już takich mądrali. Po obiedzie pójdziecie do roboty przy młocarni. Będziecie nosić worki z jęczmieniem. Pójdziecie z ludźmi Slima.

– Slima?

– Tak, to taki wysoki, potężny facet. Poznacie go przy obiedzie.

Odwrócił się zamaszyście i ruszył do drzwi. Ale zanim wyszedł, przystanął i jeszcze raz przyjrzał się

uważnie nowo przybyłym. Gdy ucichł odgłos jego kroków, George zwrócił się do Lenniego:

– A miałeś nie mówić ani słowa. Miałeś trzymać tę swoją wielką gębę na kłódkę i mnie zostawić całą gadkę. Cholera, o mało nie straciliśmy tej roboty.

Lennie przyglądał się bezradnie swoim rękom.

– Ja zapomniałem, George.

– Zapomniałeś. Zawsze zapominasz, a potem ja muszę kręcić na wszystkie strony. – George usiadł ciężko na pryczy. – Teraz będzie nas miał na oku. Musimy się pilnować, żeby nie było jakiejś wpadki. A ty trzymaj od dziś język za zębami. – Zamilkł i pogrążył się w posępnym milczeniu.

– George?

– Czego znów chcesz?

– Mnie żaden koń nie kopnął w głowę, prawda?

– I wielka szkoda – rzekł ze złością George. – Byłoby, cholera, mniej kłopotów.

– Powiedziałeś, że jestem twoim kuzynem, George.

– Po prostu łgałem. I dobrze, że to bujda, bo gdyby tak było naprawdę, palnąłbym sobie w łeb. – Przerwał nagle, podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – A ty co tu, do cholery, podsłuchujesz?

Stary wszedł powoli do baraku, dzierżąc w ręku szczotkę. Za nim kuśtykał owczarek o posiwiałym pysku i wyblakłych, na pół ślepych ze starości oczach. Pies dowlókł się do ściany i położył się z cichym stęknięciem, po czym zaczął lizać sobie sierść, która wyglądała jak wyżarta przez mole. Stary przyglądał mu się, dopóki psisko nie znieruchomiało.

– Ja nie podsłuchiwałem. Stałem sobie tylko i drapałem psa. Właśnie skończyłem sprzątać w pralni.

– Chciałeś zwęszyć, co my za jedni – rzekł George. – Nie cierpię takich wścibskich facetów.

Stary spoglądał niespokojnym wzrokiem to na George'a, to na Lenniego.

– Dopiero co przyszedłem. Nie słyszałem, o czym żeście tu gadali. Nic mnie to nie obchodzi. Na ranczu nikt nikogo nie słucha i o nic nie pyta.

– No i dobrze – rzekł George, nieco udobruchany. – Bo inaczej nie zagrzałby tu długo miejsca. – Przekonały go tłumaczenia starego. – Wejdź i siadaj. Ten pies jest chyba cholernie stary, co?

– Aha. Mam go od szczeniaka. Boże, jaki to był kiedyś piękny owczarek! – Stary odstawił szczotkę pod ścianę i potarł wierzchem dłoni siwy zarost na policzkach. – No i jak się wam podoba gospodarz?

– Całkiem w porządku. Wygląda na równego gościa.

– Tak, to porządny gość – zgodził się stary. – Trzeba go tylko wyczuć.

Do baraku wszedł młody, drobny mężczyzna o opalonej twarzy, piwnych oczach i kędzierzawych włosach. Na lewej dłoni miał roboczą rękawiczkę i podobnie jak gospodarz nosił buty na podwyższonym obcasie.

– Nie widzieliście mojego starego? – zapytał.

– Był tu przed chwileczką, Curley – odpowiedział sprzątacz. – Pewnie poszedł do kuchni.

– Spróbuję go złapać – rzekł Curley. Omiótł spojrzeniem nowo przybyłych i zatrzymał się w pół kroku. Zmierzył chłodnym spojrzeniem George'a, a potem Lenniego. Powoli zgiął ręce w łokciach i zacisnął pięści. Potem zesztywniał i sprężył się jak do skoku. Jego

spojrzenie było jednocześnie badawcze i wyzywające. Lennie skulił się i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Curley podszedł do niego ostrożnie.

– To wy jesteście ci nowi, na których czekał mój stary?

– Właśnie przyszliśmy – powiedział George.

– Niech gada ten wielkolud.

Lennie aż się skręcał z zakłopotania.

– A jak mu się nie chce gadać? – zapytał George.

Curley odwrócił się gwałtownie.

– Skoro się do niego mówi, to ma gadać, i już. A ty po cholerę się wtrącasz?

– Chodzimy razem za robotą – rzekł chłodno George.

– Ach, więc to tak...

George stał naprzeciw niego, napięty, nieruchomy.

– Właśnie tak.

Lennie wpatrywał się w niego z rozpaczą, błagając o jakieś wskazówki.

– I nie pozwalasz mu gadać?

– Niech sobie mówi, jeśli chce. – George skinął głową Lenniemu.

– My właśnie przyszliśmy – powiedział cicho Lennie.

Curley patrzył mu prosto w oczy.

– Na drugi raz odpowiadaj, jak się do ciebie mówi.

Odwrócił się i wyszedł z rękami ciągle lekko zgiętymi w łokciach.

George odprowadził go wzrokiem, po czym zwrócił się do starego:

– Co go ugryzło, do diabła? Lennie nic mu nie zrobił.

Stary sprzątacz zerknął bojaźliwie w stronę drzwi, żeby upewnić się, czy nikt nie podsłuchuje.

– To syn gospodarza – powiedział ściszonym głosem. – Curley jest niezłym bokserem. W wadze lekkiej, bardzo szybki.

– Niech sobie będzie szybki, ale nie musi się czepiać Lenniego. Lennie mu nic nie zrobił. Co on ma do niego?

Stary zastanowił się przez chwilę.

– Hm, rzecz w tym, że Curley, jak wszystkie kurduple, nienawidzi większych od siebie. Wciąż szuka z takimi zwady. Całkiem jakby miał fioła na ich punkcie, bo sam jest mały. Wiecie przecież, jak to jest z tymi konusami, co to zawsze się stawiają.

– Jasne – przytaknął George. – Widywałem takich kogutów. Ale niech ten cały Curley uważa, żeby się nie naciął. Lennie nie jest może taki szybki, ale ten śmierdziel może oberwać, jak będzie się go czepiał.

– Ten Curley jest szybki jak piorun – powiedział sceptycznie stary. – Zawsze wydawało mi się to nie w porządku. Jak dołoży większemu od siebie, to wszyscy mówią: „Ale kogut z tego Curleya". Ale jak większy dołoży Curleyowi, wtedy wszyscy mówią, że taki powinien się bić z kimś równym sobie, i jeszcze mu dokopią. To nie w porządku. Ten Curley nie daje nikomu szans.

George patrzył na drzwi.

– Niech on lepiej uważa z Lenniem – powiedział złowieszczo. – Lennie nie lubi się bić, ale ma parę, jest nerwus i nie zna żadnych reguł. – Podszedł do stołu, usiadł na skrzynce, zebrał karty i zaczął je tasować. Stary przysiadł na drugiej skrzynce.

– Nie powtarzaj Curleyowi tego, co wam mówiłem. Wykopałby mnie stąd. Dla takiego to jak splunąć. Jego nie wyleją z roboty, bo to syn gospodarza.

George przełożył karty, zaczął wyciągać po jednej i odwracając, rzucał je na stół.

– Ten cały Curley wygląda mi na skurwysyna – powiedział. – Nie cierpię takich wrednych karłów.

– Tak mi się widzi, że ostatnio stał się jeszcze gorszy. Ożenił się parę tygodni temu. Żona zamieszkała w domu gospodarza. Od czasu jak się ożenił, stawia się chyba jeszcze bardziej.

– Może szpanuje przed żoną – mruknął George.

Stary coraz bardziej się rozkręcał.

– Widziałeś tę rękawiczkę na jego lewej ręce?

– Widziałem, a co?

– W środku jest pełno wazeliny.

– Wazeliny? A po jaką cholerę?

– Powiem ci, po jaką... Curley mówi, że musi mieć delikatną rękę dla żonki.

George przyglądał się uważnie kartom.

– To świństwo gadać takie rzeczy wszystkim dookoła.

Stary nabierał coraz większej pewności siebie. Udało mu się nakłonić George'a do wygłoszenia pogardliwej uwagi. Czuł się teraz bezpieczny i mówił tonem coraz bardziej poufnym:

– Poczekaj, aż zobaczysz żonę Curleya.

George znów przełożył karty i zaczął w skupieniu, bez pośpiechu, układać pasjansa.

– Ładna? – zapytał obojętnym tonem.

– Owszem, ładna, ale...

George wpatrywał się w karty.

– Ale co?

– Ale ogląda się za facetami.

– Co? Parę tygodni po ślubie i już ogląda się za

facetami? Pewnie dlatego Curley łazi, jakby miał mrówki w portkach.

– Widziałem, jak robiła oko do Slima. Slim to najlepszy szef parobków. Fajny gość. Nie musi nosić butów na obcasie, żeby go chłopcy uważali. No więc widziałem, jak robiła oko do Slima. Curley tego nie widział. Widziałem też, jak robiła oko do Carlsona.

George udawał, że go to wcale nie obchodzi.

– Wygląda na to, że będziemy tu mieli niezłą zabawę.

Stary podniósł się ze skrzynki.

– Wiesz, co sobie myślę?

George nie odpowiadał.

– Myślę, że Curley chajtnął się... z kurwą.

– Nie on pierwszy – rzekł George. – Pełno takich dookoła.

Stary ruszył ku drzwiom. Jego sędziwy pies uniósł łeb, rozejrzał się dokoła, z trudem dźwignął się z podłogi i powlókł za swym panem.

– Muszę naszykować miednice do mycia dla chłopaków. Lada chwila się tu zjawią. Macie nosić worki z jęczmieniem?

– Aha.

– Nie powtórzysz Curleyowi, co tu gadałem?

– Za cholerę.

– No więc przyjrzyj się jej dobrze, szanowny panie, a sam zobaczysz, czy to nie kurwa. – Przestąpił próg i wyszedł na zalane słońcem podwórze.

George rozkładał z namysłem karty, po trzy na kupce. Potem odwrócił je i położył cztery trefle na asa. Na podłodze jaśniała kwadratowa plama światła, w jego smudze jak iskry wirowały muchy.

Z podwórza dochodził brzęk uprzęży i skrzypienie osi obładowanych wozów. Donośny głos zawołał gdzieś w oddali:

– Stajenny! Sta-jen-ny! – A po chwili: – Gdzie się podziewa ten cholerny czarnuch?

George przyjrzał się swemu pasjansowi, po czym zgarnął karty jednym ruchem i odwrócił się do Lenniego. Lennie spoglądał na niego ze swojej pryczy.

– Słuchaj, Lennie, nie zagrzejemy tu długo miejsca. Mam pietra. Boję się, że będziesz miał przeprawę z tym Curleyem. Znam takich. Na razie chciał cię wyczuć. Myśli, że cię zastraszy, i przy pierwszej lepszej okazji da ci zdrowy wycisk.

W oczach Lenniego pojawił się błysk przerażenia.

– Ja nie szukam zwady – powiedział płaczliwie. – Nie pozwól mu mnie bić.

George podszedł do jego pryczy i usiadł na niej.

– Nienawidzę takich sukinsynów – powiedział. – Widziałem ich na kopy. Jest tak, jak mówi ten stary: Curley nic nie ryzykuje. Zawsze jest górą. – Zamyślił się przez chwilę. – Jeśli się na ciebie zaweźmie, stracimy robotę. Nie ma dwóch zdań. Jest synem gospodarza. Słuchaj, Lennie, staraj się trzymać od niego z daleka. Nie wdawaj się z nim w żadną gadkę. Jak tu przyjdzie, idź od razu na drugi koniec baraku. Rozumiesz, Lennie?

– Nie szukam zwady – powtórzył Lennie żałośnie. – Nic mu nie zrobiłem.

– To nie ma znaczenia, jeśli Curley się uprze, żeby zgrywać bohatera. Trzymaj się od niego z daleka. Będziesz pamiętał?

– Pewnie, George. I nie pisnę słowa.

Głosy wracających robotników, stukot końskich kopyt, zgrzyt hamulców i brzęk łańcuchów słychać było coraz wyraźniej. Mężczyźni nawoływali się wzajemnie. George siedział na pryczy Lenniego i myślał intensywnie ze zmarszczonym czołem.

– Jesteś na mnie zły, George? – zapytał Lennie.

– Nie na ciebie. Wkurza mnie ten skurwysyn Curley. Myślałem, że zarobimy tu trochę forsy, może nawet ze sto dolców. – Jego głos nabrał stanowczości. – Trzymaj się od niego z daleka, Lennie.

– Jasne, George. Nawet nie pisnę.

– Nie daj się podpuścić, ale... jakby ten sukinsyn próbował cię pobić, to mu pokaż.

– Co mu pokazać, George?

– Ach, nieważne. Powiem ci, jak będzie trzeba. Nienawidzę takich typów. Jakbyś miał jakieś kłopoty, to pamiętasz, co ci mówiłem, tak, Lennie? Wiesz, co masz robić?

Lennie wsparł się na łokciu. Na jego twarzy odbiła się męka myślenia. Podniósł wzrok i spojrzał ze smutkiem na George'a.

– Jak narobię kłopotów, to nie pozwolisz mi doglądać królików.

– Nie o to chodzi. Pamiętasz, gdzie spaliśmy ostatniej nocy? To miejsce nad rzeką?

– Aha, pamiętam. Jasne, że pamiętam. Mam tam pójść i schować się w krzakach.

– Schowaj się i siedź tam, aż przyjdę. Tak, żeby cię nikt nie zobaczył. Schowaj się w krzakach nad rzeką. Powtórz.

– Schować się w krzakach nad rzeką, w krzakach nad rzeką.

– Jakbyś coś nabroił.

– Jakbym coś nabroił.

Przed barakiem zgrzytnął hamulec.

– Ej, stajenny! – rozległo się wołanie.

– Powtarzaj to sobie, Lennie – rzekł George – tak żebyś nie zapomniał.

Podnieśli obaj głowy, bo jakiś cień przesłonił nagle jasny prostokąt otwartych drzwi. W progu stała dziewczyna i zaglądała do wnętrza baraku. Miała pełne, uszminkowane usta, szeroko osadzone, mocno umalowane oczy, krwistoczerwone paznokcie, a na głowie loki w kształcie kiełbasek. Ubrana była w prostą bawełnianą sukienkę, na nogach miała czerwone pantofle, przyozdobione puszkami ze strusich piór takiej samej barwy.

– Szukam Curleya – powiedziała nosowym, z lekka załamującym się głosem.

George odwrócił wzrok, a potem spojrzał na nią znowu.

– Był tu przed chwilą, ale poszedł.

– Och! – Założyła ręce do tyłu i oparła się o futrynę, tak że jej ciało wygięło się w łuk. – To wy jesteście ci nowi, co dopiero przyszli?

– Tak.

Lennie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy; choć zdawała się na niego nie patrzeć, lekko ją to speszyło.

– Curley czasami tu wpada – wyjaśniła, przypatrując się swym paznokciom.

– Ale teraz go nie ma – powiedział szorstko George.

– No to chyba poszukam go gdzie indziej – rzekła filuternie.

Urzeczony Lennie nie odrywał od niej wzroku.

– Jak go zobaczę, powiem mu, że go szukasz – powiedział George.

Uśmiechnęła się i przeciągnęła zalotnie.

– Nic w tym złego, że ktoś kogoś szuka – rzekła.

Za jej plecami rozległy się kroki. Obejrzała się.

– Cześć, Slim – powiedziała.

– Siemasz, ślicznotko – dobiegł zza drzwi głos Slima.

– Próbuję znaleźć Curleya.

– To jakoś kiepsko się starasz, bo widziałem, jak wchodził do waszego domu.

Najwyraźniej się spłoszyła.

– Cześć, chłopcy – rzuciła w głąb baraku i odeszła pospiesznie.

George spojrzał na Lenniego.

– Jezu, co za wywłoka! Fajną żonkę se znalazł ten Curley, nie ma co.

– Jest ładna – powiedział Lennie, jakby tłumaczył Curleya.

– No tak, i wcale się z tym nie obnosi. Curley będzie jeszcze miał za swoje. Założę się, że ona za dwadzieścia dolców pójdzie z pierwszym lepszym.

Lennie nie odrywał wzroku od drzwi.

– Jezu, ale ona jest ładna – powtórzył z błogim uśmiechem.

George przyjrzał mu się bacznie i złapał go mocno za ucho.

– Słuchaj no ty, rąbnięty sukinsynu – powiedział gniewnie. – Nie waż mi się nawet spojrzeć na tę dziwkę. Nie obchodzi mnie, co ona gada czy robi. Widziałem już podobną zarazę, ale ta tutaj sztuka

zaprowadziłaby cię do pierdla, nimbyś się obejrzał. Więc lepiej trzymaj się od niej z daleka.

Lennie usiłował wyswobodzić ucho.

– Przecież ja nic nie zrobiłem, George.

– No nie, nic nie zrobiłeś, ale jak tu stała w drzwiach i pokazywała kulasy, toś się gapił jak sroka w gnat.

– Ale nie myślałem nic złego, George. Słowo.

– Więc lepiej trzymaj się od niej z daleka, bo ona jest jak pułapka. Niech Curley sam pije piwo, co go sobie nawarzył. Rękawiczka pełna wazeliny – dodał z obrzydzeniem. – Pewnie pije też jajka na surowo i sprowadza różne patentowane środki na męskość.

– Nie podoba mi się tu, George! – wybuchnął nagle Lennie. – To niedobre miejsce. Chcę stąd iść.

– Musimy tu zostać, dopóki nie zarobimy trochę forsy. Nie ma rady, Lennie. Rzucimy tę robotę, jak tylko będzie można. Też mi się tu nie podoba. – Wrócił do stołu i zaczął stawiać nowego pasjansa. – Naprawdę, wcale mi się tu nie podoba. Wyniósłbym się stąd choćby zaraz. Jak tylko uskładamy parę dych, pojedziemy do American River płukać złoto. Można tam zarobić po parę dolców dziennie, a może się trafić i coś grubszego.

Lennie pochylił się ku niemu.

– Jedźmy tam, George – powiedział żarliwie. – Wynośmy się stąd. To nie jest dobre miejsce.

– Musimy zostać – uciął George. – A teraz zamknij się, bo tamci zaraz tu będą.

Z umywalni dochodził plusk wody i brzęk miednic. George przypatrywał się uważnie kartom.

– Może by się tak umyć? – rzekł. – Choć po prawdzie nie zdążyliśmy się jeszcze ubrudzić.

W drzwiach stanął wysoki mężczyzna. Trzymał pod pachą wymiętego stetsona i sczesywał do tyłu długie, czarne i wilgotne włosy. Podobnie jak wszyscy, miał na sobie niebieskie drelichowe ubranie. Skończywszy się czesać, wszedł do baraku. Poruszał się z dostojeństwem charakterystycznym dla władców i mistrzów w swoim fachu. Był to szef parobków, prawdziwy książę rancza; potrafił powozić zaprzęgiem z dziesięciu, szesnastu, a nawet dwudziestu mułów za pomocą jednej pary lejc. Mógł, nie dotykając muła, zabić muchę na jego zadzie jednym uderzeniem bykowca. W jego postawie była taka godność i tak głęboki spokój, że gdy otwierał usta, wszyscy milkli. Miał wielki posłuch wśród robotników; jego zdanie, czy to w sprawach polityki, czy miłości, liczyło się zawsze najbardziej. Taki właśnie był Slim, szef parobków. Ze szczupłej twarzy o ostrych rysach trudno było odgadnąć jego wiek: mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć jak pięćdziesiąt lat. Słyszał zazwyczaj więcej, niż chciano mu powiedzieć, a w niespiesznie cedzonych słowach pobrzmiewała nutka zrozumienia wykraczającego poza zwykłe, banalne myślenie. Ręce, duże i szczupłe, poruszały się z gracją, jak u tancerza w świątyni.

Wygładził zmięty kapelusz, wymodelował kantem dłoni zagłębienie i włożył stetsona na głowę. Potem spojrzał życzliwie na nowo przybyłych.

– Tak jasno na dworze, że człowiek nic nie widzi, jak tu wejdzie – powiedział. – To wy jesteście ci nowi?

– Tylko co przyszliśmy – odpowiedział George.

– Będziecie nosić worki z jęczmieniem?

– Tak mówił gospodarz.

Slim usiadł na skrzynce naprzeciwko George'a. Przyjrzał się kartom na stole, choć były odwrócone.

– Dobrze by było, żebyście trafili do mnie – powiedział łagodnym głosem. – Mam u siebie dwóch takich palantów, co nie odróżniają jęczmienia od bławatków. A wy, chłopcy, pracowaliście już kiedy przy młócce?

– Jasne – rzekł George. – Ja nie mam się czym chwalić, ale ten tu wielkolud może w pojedynkę dźwignąć większy wór niż dwóch naraz.

Lennie, który przysłuchiwał się rozmowie, spoglądając to na jednego, to na drugiego, uśmiechnął się, zadowolony z pochwały. Slim popatrzył na George'a z uznaniem; spodobało mu się, że tak pochlebnie mówi o towarzyszu. Pochylił się nad stołem i pstryknął w blat rogiem leżącej z boku karty.

– Chodzicie razem za robotą? – Ton pytania był przyjazny, zachęcał do zwierzeń, ale ich nie wymuszał.

– Tak, podpieramy jakoś jeden drugiego. – George wskazał kciukiem na Lenniego. – Bystry to on nie jest, ale za to cholernie robotny. A do tego chłop poczciwy z kościami, choć, jak mówię, nie za bystry. Znamy się od lat.

Slim spojrzał na niego przenikliwie, a potem zapatrzył się w przestrzeń.

– Niewielu chodzi razem za robotą – powiedział w zadumie. – Nie wiem właściwie czemu. Może na tym przeklętym świecie ludzie boją się siebie.

– O wiele lepiej szukać roboty z kimś, kogo się zna – rzekł George.

Do baraku wszedł potężny, brzuchaty mężczyzna. Dopiero co umyta głowa ociekała mu jeszcze wodą.

– Cześć, Slim – powiedział. Zobaczywszy George'a i Lenniego, przystanął i wlepił w nich oczy.

– Ci dwaj właśnie przyszli – rzekł Slim, jakby dokonywał prezentacji.

– Miło was poznać – powiedział olbrzym. – Nazywam się Carlson.

– Ja jestem George Milton, a to Lennie Small.

– Miło mi – powtórzył Carlson. – Small*? Wcale nie wygląda na małego – zaśmiał się cicho z własnego żartu. – Nie wygląda. Słuchaj, Slim, co z twoją suką? Nie widziałem jej dziś rano pod wozem.

– Oszczeniła się w nocy – odparł Slim. – Było ich dziewięć. Cztery od razu utopiłem. Nie wykarmiłaby tylu.

– To zostało ci pięć?

– Pięć. Zostawiłem największe.

– I jak myślisz, co z nich wyrośnie?

– Nie wiem. Pewnie jakieś owczarki. Takie się koło niej kręciły, kiedy miała cieczkę.

– No to masz pięć szczeniaków, co? – ciągnął Carlson. – Zatrzymasz wszystkie?

– Nie wiem. Na razie trzymam, żeby Lulu mogła je karmić.

– Słuchaj, Slim – rzekł powoli, z namysłem Carlson. – Pomyślałem sobie, że ten pies Candy'ego jest już taki cholernie zgrzybiały, że ledwie powłóczy nogami. I śmierdzi jak zaraza. Ile razy tu wejdzie, w baraku cuchnie przez parę dni. Może by tak namówić Candy'ego, żeby go zastrzelił, i dać mu na wychowanie szczeniaka? To psisko czuć na milę. Nie ma zębów, jest prawie ślepy, nie może żreć.

* *Small* (ang.) – mały.

Candy poi go mlekiem, bo pies nic innego nie przełknie.

George w napięciu wpatrywał się w Slima. Przed barakiem rozległo się dzwonienie w metalowy trójkąt. Najpierw wolne, potem coraz szybsze uderzenia zlały się w jeden płynny, przenikliwy dźwięk, który urwał się tak samo raptownie, jak się zaczął.

– Dają obiad – powiedział Carlson.

Na zewnątrz słychać było ożywione głosy przechodzących mężczyzn.

Slim podniósł się bez pośpiechu, z godnością.

– Chodźcie, chłopcy, póki jest jeszcze coś do zjedzenia. Za parę minut nic nie zostanie.

Carlson usunął się, żeby przepuścić Slima przodem, i obaj wyszli z baraku.

Lennie spojrzał podniecony na George'a. Ten zebrał karty ze stołu na jeden stos.

– Wiem – powiedział. – Słyszałem, Lennie. Zapytam go.

– Żeby był w białe i brązowe łaty! – krzyknął Lennie rozgorączkowany.

– Chodź, idziemy na obiad. Nie wiem, czy ma takiego w białe i brązowe łaty.

Lennie nie ruszał się z pryczy.

– Zapytaj go zaraz, George, żeby nie zabił ich wszystkich.

– Okej, wstańże wreszcie z tego wyrka.

Lennie zwlókł się z pryczy i ruszyli obaj ku drzwiom. W progu zderzyli się z Curleyem.

– Nie było tu takiej jednej? – wyrzucił z siebie z wściekłością.

– Była, jakieś pół godziny temu – odparł chłodno George.

– Co ona tu, do cholery, robiła?

George stał bez ruchu, spoglądając na rozwścieczonego człowieczka.

– Mówiła, że szuka ciebie – rzekł drwiąco.

Curley spojrzał na niego, jakby widział go po raz pierwszy. Zmierzył go pałającym wzrokiem od stóp do głowy: oszacował wzrost, zasięg ramion, zgrabną sylwetkę.

– No więc, dokąd poszła? – warknął w końcu.

– Nie wiem – rzekł George. – Nie patrzyłem za nią.

Curley spojrzał na niego spode łba, odwrócił się na pięcie i wybiegł z baraku.

– Wiesz, Lennie – powiedział George – boję się, że ja sam będę miał kłopoty z tym skurwysynem. Nie mogę patrzeć na tę wredną mordę. No, chodźmy, bo nam wszystko zeżrą.

Wyszli na podwórze. Słońce oświetlało wąski skrawek ziemi pod oknem. Z daleka dochodził brzęk misek.

Po chwili do baraku wkuśtykał sędziwy pies. Potoczył dokoła łagodnym, gasnącym spojrzeniem na pół ślepych oczu. Powęszył trochę i położył się, układając łeb między łapami. Do baraku zajrzał znów Curley i omiótł spojrzeniem izbę. Pies uniósł głowę, a gdy Curley wybiegł, z powrotem złożył ją na podłodze.

Choć przez okna sączyło się jeszcze światło zmierzchającego dnia, w baraku panował już półmrok. Przez otwarte drzwi dobiegały na przemian

głuche i metaliczne odgłosy gry w podkowy i towarzyszące zawodom okrzyki uznania lub drwiny.

Slim i George weszli razem do ciemnego baraku. Slim sięgnął do wiszącej nad stołem, osłoniętej puszką od konserw żarówki i zapalił ją. Blat zajaśniał w padającym z góry snopie światła, ale reszta baraku nadal tonęła w półmroku. Slim usiadł na skrzynce, George naprzeciw niego.

– Nie ma o czym mówić – rzekł Slim. – I tak musiałbym większość utopić. Nie masz za co dziękować.

– Dla ciebie może to nic takiego, ale dla niego to cholernie ważne. Jak Boga kocham, nie wiem, jak go teraz zmusimy, żeby spał tu, w baraku. Na pewno będzie chciał spać z nimi w stodole. A jak zechce wleźć do skrzynki ze szczeniakami, to go nikt nie powstrzyma.

– Nie ma o czym mówić – powtórzył Slim. – Miałeś co do niego rację. Bystry to on nie jest, ale takiego robotnika jeszcze nie widziałem. O mało nie wykończył faceta, który robił z nim w parze. Nikt nie może za nim nadążyć. Słowo daję, w życiu nie widziałem takiego siłacza.

– Lenniemu wystarczy powiedzieć, co ma zrobić, a zrobi, byleby nie musiał przy tym za dużo główkować. Sam nie wymyśli sobie żadnej roboty, ale jak mu kazać, to zrobi wszystko.

Na podwórzu podkowa uderzyła o żelazny kołek; rozległ się chórek radosnych okrzyków.

Slim cofnął się o krok, tak że jego twarz znalazła się w cieniu.

– To dziwne, jak wy dwaj trzymacie się razem. – W jego głosie wyczuwało się ton zachęty do zwierzeń.

– A co w tym dziwnego? – zjeżył się George.

– Sam nie wiem. Robotnicy sezonowi rzadko kiedy chodzą razem za pracą. Ja jeszcze takich nie spotkałem. Wiesz, jak to jest z tymi, co się najmują. Przychodzą, dostają pryczę, popracują miesiąc i idą sobie. I nie wygląda na to, żeby przejmowali się innymi. Trochę to dziwne, że taki czubek jak on i taki obrotny facet jak ty chodzą razem za robotą.

– On nie jest czubek – odparł George. – Jest durny, ale nie wariat. A ja, jakbym naprawdę był taki obrotny, to nie tachałbym worków z jęczmieniem za wikt i pięć dych miesięcznie. Miałbym własny kawałek ziemi i sam bym z niej zbierał, zamiast tyrać na cudzym. – George zamilkł. Miał ochotę pogadać, ale Slim ani go do tego nie zachęcał, ani nie próbował zniechęcić. Siedział po prostu cicho, skupiony i uważny.

– Nie ma w tym nic dziwnego, że trzymamy się razem – rzekł wreszcie George. – Obaj urodziliśmy się w Auburn. Znałem jego ciotkę Klarę. Wychowywała go od małego. Po jej śmierci Lennie zaczął chodzić ze mną za robotą. I tak jakoś się człowiek przyzwyczaił.

– Aha – mruknął Slim.

George spojrzał na niego i zobaczył wpatrzone w siebie poważne, uduchowione oczy.

– Dziwne – powiedział. – Kiedyś miałem z nim niezłą zabawę. Robiłem mu różne psikusy, bo to taki głupek, że jak się go zostawi samego, to gubi się na amen. Był nawet za głupi, żeby się połapać, że robi mu się kawał. Oj, miałem ja z nim uciechę. Przy nim wydawałem się sam sobie cholernym spryciarzem.

Bo on zrobi wszystko, co mu każę. Jakbym mu kazał skoczyć w przepaść, toby skoczył. Ale potem przestało mnie to bawić. Nigdy się na mnie nie wkurzył. Czasami tłukłem go, ile wlezie, a on, co mógłby mi połamać wszystkie gnaty, nie podniósł na mnie nawet palca. – Zwierzenia George'a przybrały stopniowo ton spowiedzi. – Powiem ci, dlaczego przestałem go nabierać. Staliśmy kiedyś z paroma facetami nad brzegiem Sacramento. Chciałem się przed nimi popisać i mówię do Lenniego: „Skacz!". No i on skoczył, a nie umie w ogóle pływać. Niewiele brakowało, a byłby się utopił. I jeszcze był mi cholernie wdzięczny, że go ratowałem. W ogóle nie pamiętał, że to ja mu kazałem skoczyć. Od tego czasu przestałem mu robić kawały.

– To dobre chłopisko – rzekł Slim. – A do tego nie potrzeba rozumu. Czasem mi się wydaje, że jest na odwrót: spryciarz rzadko bywa porządnym człowiekiem.

George zebrał rozsypane karty i znów zaczął układać pasjansa. Z podwórza dobiegał stłumiony łoskot podków o ziemię. Kwadratowe okna wciąż rozjaśniało światło wczesnego zmierzchu.

– Nie mam rodziny – powiedział George. – Widziałem takich, co chodzili sami od rancza do rancza. Kiepsko im szło. Niewiele mają w życiu przyjemności. A po jakimś czasie robią się wredni i tylko szukają okazji do bójki.

– To prawda, stają się wredni – potwierdził Slim. – Tak się zacinają, że nawet gęby do człowieka nie otworzą.

– Z tym Lenniem to tylko cholerne utrapienie – mówił George – ale jak się człowiek przyzwyczai

do chodzenia za robotą razem, to potem ciężko samemu.

– On nie jest wredny – rzekł Slim. – Ani trochę, znam się na tym.

– Jasne, że nie jest. Ale wciąż się pakuje w jakieś kłopoty, bo jest taki cholernie głupi. Tak jak wtedy w Weed... – urwał nagle i zastygł w bezruchu z kartą w dłoni. Z niepokojem spojrzał przez stół na Slima. – Nie powiesz nikomu, co?

– A co takiego zrobił w Weed? – zapytał spokojnie Slim.

– A nie powiesz nikomu? Nie, no jasne, że nie powiesz.

– Co takiego zrobił w Weed? – powtórzył Slim.

– No więc zobaczył taką jedną dziewczynę w czerwonej sukience. A ten głupi sukinsyn jest już taki, że musi dotknąć wszystkiego, co mu się podoba. Chce to po prostu pomacać. Więc wyciąga rękę, żeby dotknąć tej czerwonej sukienki, a dziewczyna jak nie zacznie wrzeszczeć, więc on już zgłupiał do reszty, trzyma ją, nie puszcza, bo nic innego nie przychodzi mu do głowy. A ta dziewucha piszczy i piszczy. Ja akurat byłem niedaleko i usłyszałem ten wrzask, więc biegnę, a tymczasem Lennie zdążył się tak wystraszyć, że już nie może wymyślić nic lepszego, jak trzymać ją z całej siły. Puścił dopiero, jak walnąłem go w łeb sztachetą. Był tak przerażony, że za nic nie mógł puścić tej sukienki. A wiesz, jaką ma cholerną krzepę.

Slim patrzył w przestrzeń bez mrugnięcia okiem. Powoli skinął głową.

– No i co dalej?

George pieczołowicie układał karty.

– Dziewczyna poleciała na policję i melduje, że ją zgwałcił. A chłopaki z Weed zrobili obławę, żeby zlinczować Lenniego. Przesiedzieliśmy resztę dnia w rowie. Tylko głowy nam z niego sterczały. No i tego samego wieczoru daliśmy stamtąd nogę.

Slim siedział przez chwilę w milczeniu.

– Ale nic nie zrobił tej dziewczynie, co? – zapytał w końcu.

– Nie, do cholery. Tylko napędził jej stracha. Ja też bym się wystraszył, jakby mnie tak chwycił. Ale nie zrobił jej krzywdy. Chciał tylko dotknąć tej czerwonej sukienki, tak samo jak chce ciągle głaskać te szczeniaki.

– On nie jest wrednym facetem – powtórzył Slim. – Ja wyczuję takiego na milę.

– Jasne, że nie jest. I zrobi, cholera, wszystko, co tylko mu...

W drzwiach ukazał się Lennie. Swoją niebieską drelichową bluzę miał narzuconą na ramiona. Lekko zgarbiony ruszył w głąb baraku.

– No, co tam, Lennie? Jak tam szczeniak?

– Jest w białe i brązowe łaty, dokładnie taki jak chciałem – wyrzucił z siebie Lennie jednym tchem. Podszedł do swojej pryczy i natychmiast się położył, twarzą do ściany, podciągając kolana.

George odłożył stanowczym ruchem karty.

– Lennie – powiedział ostro.

– Co? Czego chcesz, George?

– Mówiłem ci, żebyś tu nie przynosił tego szczeniaka.

– Jakiego szczeniaka, George? Nie mam żadnego szczeniaka.

George podszedł szybko do niego, schwycił go za ramię i odwrócił. Potem sięgnął w okolice podbrzusza Lenniego i wyciągnął stamtąd ukryte maleńkie szczenię.

Lennie usiadł na pryczy.

– Oddaj mi go, George.

– Pójdziesz zaraz i odniesiesz tego szczeniaka do legowiska. On ma być przy matce. Chcesz go zabić? Ledwie się urodził wczoraj wieczorem, a ty go zabierasz od matki. Zaniesiesz go z powrotem albo powiem Slimowi, żeby ci go nie dawał.

Lennie wyciągnął błagalnie ręce.

– Daj mi go, George. Zaniosę go z powrotem. Nie chciałem mu zrobić krzywdy, George, jak Boga kocham, że nie chciałem. Ja tylko chciałem go troszkę pogłaskać.

George oddał mu szczeniaka.

– Dobra. Odnieś go szybko i więcej stamtąd nie zabieraj. Zabijesz go, zanim się obejrzysz.

Lennie posłusznie wymknął się z baraku.

Slim siedział nieruchomo. Spokojnie odprowadził Lenniego wzrokiem, aż ten znikł za drzwiami.

– Chryste – powiedział. – Przecież on jest całkiem jak dzieciak.

– Całkiem jak dzieciak – potwierdził George. – I nie mógłby wyrządzić więcej szkody, tyle że ma taką krzepę. Dam głowę, że nie przyjdzie tu dziś spać. Będzie spał w stodole, przy skrzyni ze szczeniakami. A niech tam. W stodole nic nie zbroi.

Na dworze było już prawie całkiem ciemno. Wszedł stary Candy, sprzątacz, i skierował się w stronę swej pryczy. Za nim człapało z wysiłkiem jego stare psisko.

– Siemasz, Slim, cześć, George. – Co to, nie graliście dziś w podkowy?

– Nie lubię tak grać co wieczór – rzekł Slim.

– Ma może któryś kapkę whisky? – ciągnął Candy. – Bolą mnie bebechy.

– Ja nie mam – odparł Slim. – Jakbym miał, tobym wypił sam, choć mnie bebechy nie bolą.

– A mnie bolą jak diabli – powiedział Candy. – To po tej cholernej brukwi. Wiedziałem, że mi zaszkodzi, nim jeszcze ją zjadłem.

Z mroku panującego na zewnątrz wynurzył się zwalisty Carlson. Przeszedł na drugi koniec baraku i zapalił drugą, osłoniętą puszką żarówkę.

– Ciemno tu jak w piekle – powiedział. – Chryste, jak ten czarnuch rzuca podkową!

– Dobry jest – przyznał Slim.

– Jest cholernie dobry – rzekł Carlson. – Nie daje nikomu szansy... – Urwał i pociągnął nosem. Potem, wciąż węsząc, spojrzał na psa. – Boże, jak ten kundel cuchnie! Wygoń go stąd, Candy! Nic tak nie śmierdzi jak stary pies. Musisz go wygonić na dwór.

Candy przesunął się na brzeg pryczy. Wyciągnął rękę, pogłaskał psa i rzekł przepraszająco:

– Jestem już z nim tak długo, że w ogóle nie czuję, żeby śmierdział.

– A ja nie mogę wytrzymać – powiedział Carlson. – Smród wisi w powietrzu, nawet jak już tego kundla tu nie ma. – Podszedł ociężałym krokiem do psa i spojrzał na niego z góry. – Nie ma zębów. Pokręcił go całego reumatyzm. Nie masz z niego żadnego pożytku, Candy. I on z siebie samego też nie. Czemu go nie zastrzelisz, Candy?

Stary poruszył się niespokojnie na pryczy.

– Mam go już, cholera, tak długo. Od szczeniaka. Pasłem z nim owce – oznajmił z dumą. – Nie poznać tego po nim teraz, ale to był najlepszy owczarek, jakiego w życiu widziałem.

– Jeden gość z Weed miał airedale'a, który umiał pilnować owiec. Nauczył się tego od innych psów – włączył się do rozmowy George.

Carlson nie dał się zagadać.

– Słuchaj, Candy. To stare psisko tylko się męczy. Jakbyś go tak wyprowadził i strzelił mu z tyłu w łeb – wyciągnął rękę i pokazał – o, tu, toby nawet nie wiedział, co go walnęło.

Candy spojrzał na niego żałosnym wzrokiem.

– Nie – powiedział cicho. – Nie. Nie mógłbym tego zrobić. Mam go już tak długo.

– On już nie ma nic z życia – nalegał Carlson. – I cuchnie jak diabli. Coś ci powiem. Zastrzelę go za ciebie. Żeby nie było, że to ty zrobiłeś.

Candy spuścił nogi z pryczy. Pocierał nerwowo siwy zarost na policzkach.

– Przywiązałem się do niego – powiedział cicho. – Mam go od szczeniaka.

– No tak, ale to, że pozwalasz mu żyć, wcale nie jest dla niego dobre – rzekł Carlson. – Słuchaj, suka Slima właśnie się oszczeniła. Slim na pewno da ci jednego szczeniaka na wychowanie; no nie, Slim?

Slim przypatrywał się uważnie psu swymi spokojnymi oczami.

– Jasne – powiedział. – Możesz sobie jednego wziąć, jak chcesz. – Mówił tak, jakby słowa przychodziły mu z trudem. – Carl ma rację, Candy. Ten

pies się tylko męczy. Sam chciałbym, żeby mnie ktoś zastrzelił, jak będę stary i niedołężny.

Candy spojrzał na niego bezradnie; słowa Slima miały wagę wyroku.

– Może go to zaboleć – próbował jeszcze. – Ja mogę się nim dalej opiekować.

– Zastrzelę go tak, że nic nie poczuje – powiedział Carlson. – Przyłożę lufę o, tu – pokazał czubkiem buta. – Dokładnie z tyłu. Nawet nie drgnie.

Candy rozglądał się po twarzach obecnych, jakby szukał u nich pomocy. Na zewnątrz było już całkiem ciemno. Do baraku wszedł młody robotnik. Miał przygarbione plecy i stąpał ciężko, jakby dźwigał na barkach niewidzialny worek zboża. Zbliżył się do swojej pryczy i położył kapelusz na półce. Wziął z niej tandetny kolorowy magazyn i podszedł z nim do światła.

– Pokazywałem ci to, Slim? – zapytał.

– Co takiego?

Młody człowiek odwrócił czasopismo, położył je na stole i wskazał palcem.

– O, tu, przeczytaj to.

Slim pochylił się nad magazynem.

– No, czytaj – zachęcił go chłopak. – Na głos.

– „Szanowny Panie Redaktorze – zaczął wolno Slim. – Czytam wasz magazyn od sześciu lat i uważam, że jest najlepszy ze wszystkich. Lubię opowiadania Petera Randa. Uważam, że są bombowe. Dawajcie więcej takich kawałków jak *Czarny jeździec*. Nie piszę za często, ale pomyślałem sobie, że dobrze by napisać, że wasz magazyn naprawdę wart jest tej dychy, którą płacę".

– Czemu kazałeś mi to czytać? – Slim spojrzał pytająco na chłopaka.

– Jedź dalej. Przeczytaj nazwisko pod spodem.

– „Życzę powodzenia. William Tenner". – Slim spojrzał znów na Whita. – To dlatego chciałeś, żebym to przeczytał?

Whit złożył z namaszczeniem czasopismo.

– Nie pamiętasz Billa Tennera? Tego, co tu pracował jakieś trzy miesiące temu?

Slim zastanowił się.

– Taki mały facet? – zapytał. – Prowadził kultywator?

– O, to, to! – zawołał Whit. – Właśnie ten.

– I myślisz, że to on napisał ten list?

– Ja to wiem. Siedzieliśmy kiedyś z Billem w baraku i Bill właśnie dostał tę gazetę. Zaczął ją przeglądać i powiada: „Napisałem do nich list. Ciekawe, czy go wydrukowali". Ale jego listu nie było i Bill powiedział, że może wydrukują go później. No i wydrukowali. Jest.

– Chyba masz rację – rzekł Slim. – Stoi tu czarno na białym.

George wyciągnął rękę.

– Mogę rzucić okiem?

Whit odszukał właściwą stronę, ale nie wypuścił pisma z rąk. Wskazał list palcem. Potem podszedł do swojej półki i ostrożnie odłożył tam magazyn.

– Ciekawe, czy Bill to czytał? – rzekł. – Pracowaliśmy z Billem na zagonie grochu. Jeździliśmy obaj na kultywatorach. Cholernie fajny chłop był z tego Billa.

Carlson nie dał się wciągnąć do rozmowy. Wciąż przypatrywał się staremu psu. Candy obserwował go zaniepokojony.

– Jak chcesz – powiedział wreszcie Carlson – to zaraz skrócę męki tego starucha i skończę z nim. Co on ma z życia? Nie może żreć, nie widzi, nie może nawet łazić jak należy, bo go wszystko boli.

– Nie masz strzelby – powiedział Candy z nadzieją.

– Diabła tam, nie mam. Mam lugera. Nic nie poczuje.

– Może jutro – powiedział Candy. – Poczekajmy z tym do jutra.

– A co za różnica? – rzekł Carlson. Podszedł do swojej pryczy, wyciągnął spod niej swój tobołek i wyjął z niego pistolet. – Załatwmy to raz na zawsze – powiedział. – Nie możemy spać z takim śmierdzącym psem. – Wetknął pistolet do kieszeni spodni.

Candy utkwił wzrok w Slimie, jakby w nadziei, że ten uchyli wyrok. Ale Slim milczał. W końcu Candy powiedział cicho, zrezygnowanym tonem:

– Dobra, weź go.

Nawet nie spojrzał na psa. Leżał na wznak na pryczy, z rękami skrzyżowanymi pod głową, i wpatrywał się w sufit.

Carlson wyciągnął z kieszeni krótki rzemień. Pochylił się i zawiązał go psu na szyi. Wszyscy z wyjątkiem Candy'ego obserwowali go pilnie.

– Chodź, piesku – powiedział łagodnie, po czym, zwracając się do Candy'ego, dodał tonem usprawiedliwienia: – Nawet nie poczuje.

Candy nie poruszył się ani nie odpowiedział. Carlson pociągnął za rzemień.

– No chodź, piesku.

Stary pies stanął powoli i sztywno na nogi i potulnie poddał się lekko naprężonej smyczy.

– Carlson – odezwał się Slim.

– Tak?

– Wiesz, co masz zrobić.

– Znaczy się, co, Slim?

– Weź łopatę – powiedział krótko Slim.

– Ach, jasne. Rozumiem. – Carlson wyprowadził psa w ciemność.

George poszedł za nimi do drzwi, zamknął je i cicho zasunął skobel. Candy leżał jak skamieniały na łóżku, ze wzrokiem wlepionym w sufit.

– Jeden z moich dyszlowych mułów ma pęknięte kopyto – powiedział głośno Slim. – Trzeba będzie posmarować je dziegciem. – Jego głos zdawał się zamierać.

Na zewnątrz było cicho. Coraz cichszy był też odgłos kroków Carlsona. Ta cisza wsączyła się do baraku i przedłużała w nieskończoność.

– Dam głowę, że Lennie jest w stodole ze swoim szczeniakiem – zaśmiał się nagle George. – Teraz, kiedy ma tego szczeniaka, w ogóle nie zechce tu przychodzić.

– Candy, jak chcesz, możesz sobie też wybrać jednego – rzekł Slim.

Candy nie odpowiadał. Znów zapadła cisza. Wynurzyła się z ciemności i wtargnęła do wnętrza baraku.

– Zagra ktoś w karty? – zapytał George.

– Mogę zagrać partyjkę – zgodził się Whit.

Usiedli naprzeciw siebie przy stole, w kręgu światła, ale George nie kwapił się do tasowania kart. Nerwowo przeciągał kciukiem po brzegu talii, ale cichy terkot kart przyciągał uwagę obecnych, więc przestał.

I znów cisza zaległa w baraku. Minęła minuta, potem druga. Candy leżał, wpatrując się w sufit. Slim przyglądał mu się przez chwilę, potem opuścił wzrok i zaczął patrzeć na swoje dłonie, wreszcie położył jedną na drugą i schował je pod stół. Spod podłogi dobiegł nagle cichy chrobot. Wszyscy spojrzeli z ulgą w tamtą stronę. Tylko Candy wciąż patrzył w sufit.

– Wygląda na to, że pod podłogą jest szczur – rzekł George. – Trzeba będzie zastawić pułapkę.

– Co on tak marudzi, do cholery! – wybuchnął nagle Whit. – Może byś tak wreszcie rozdał te karty, co? Bo jak będziesz je tak trzymał, to sobie dziś nie pogramy.

George zebrał karty i zaczął się przyglądać ich koszulkom. Znów zapanowała cisza.

Gdzieś daleko rozległ się wystrzał. Spojrzeli na Candy'ego. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

Stary jeszcze przez chwilę patrzył w sufit. Potem odwrócił się powoli do ściany i zastygł w tej pozycji.

George potasował hałaśliwie karty i rozdał je. Whit wyciągnął tabliczkę do zapisywania wyników i zaznaczył początek partii.

– Wygląda na to, że przyszliście tu naprawdę do roboty – powiedział.

– Nie rozumiem.

Whit roześmiał się.

– No bo przyszliście w piątek. Macie dwa dni pracy do niedzieli.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Whit roześmiał się znowu.

– Zrozumiesz, jak trochę pochodzisz po tych

wielkich ranczach. Tacy, którzy chcą się tylko rozejrzeć, przychodzą w sobotę po południu. Zjadają w sobotę kolację i trzy posiłki w niedzielę i mogą odejść w poniedziałek po śniadaniu, nie kiwając nawet palcem. A wy, tak czy inaczej, musicie przepracować półtora dnia.

George spojrzał mu prosto w oczy.

– Mamy zamiar zabawić tu trochę dłużej. Ja i Lennie chcemy zarobić trochę forsy.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i ukazała się w nich głowa stajennego, chuda głowa Murzyna o pobrużdżonej, napiętnowanej cierpieniem twarzy i pełnym łagodnej rezygnacji spojrzeniu.

– Panie Slim!

Slim odwrócił oczy od starego.

– Co tam? Ach, to ty, Crooks. Co się stało?

– Kazał pan zagrzać dziegciu na kopyto muła. Jest gotowy.

– Ach tak, jasne, Crooks. Zaraz tam przyjdę i posmaruję mu to kopyto.

– Jak pan chce, to ja to zrobię, panie Slim.

– Nie, zajmę się tym sam. – Slim wstał od stołu.

– Panie Slim – powiedział Crooks.

– Co tam znowu?

– Ten nowy, taki wielki, kręci się w stodole koło pańskich szczeniaków.

– Nie zrobi im krzywdy. Dałem mu jednego psiaka.

– Pomyślałem sobie – ciągnął Crooks – że lepiej panu powiedzieć. On wyjmuje szczeniaki ze skrzynki i je miętosi. To im nie wyjdzie na zdrowie.

– Nic im nie będzie – rzekł Slim. – Pójdę tam zaraz z tobą.

George spojrzał znad kart.

– Jeśli ten pieprznięty sukinsyn coś tam z nimi wyprawia, wykop go stamtąd, Slim.

Slim wyszedł za stajennym z baraku.

George rozdał karty. Whit zebrał ze stołu swoje i sprawdził, co ma.

– Widziałeś już tę nową laleczkę? – zapytał.

– Jaką laleczkę?

– No, tę nową żonę Curleya.

– Widziałem.

– No i co, czy to nie kurewka?

– Nie przyjrzałem jej się aż tak dokładnie.

Whit rzucił zamaszyście karty na stół.

– No to się przyjrzyj. I miej oczy otwarte, a sporo zobaczysz. Ona nic nie ukrywa. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej jak ona. Bez przerwy strzela oczami na wszystkie strony. Dam głowę, że ogląda się nawet za stajennym. Nie mam pojęcia, o co jej biega.

– Były jakieś kłopoty, odkąd się tu zjawiła? – zapytał George obojętnym tonem.

Whit najwyraźniej nie interesował się swoimi kartami. Odłożył je na stół. George zebrał je i zaczął niespiesznie układać swojego pasjansa: siedem kart w rzędzie, sześć na górę, potem jeszcze pięć.

– Wiem, o co ci chodzi – rzekł Whit. – Nie, jak na razie nic nie było. Tylko Curley wariuje, ale to wszystko. Gdzie tylko pojawi się jakiś chłop, ona już tam jest. Szuka niby Curleya albo udaje, że coś zostawiła. Wygląda, jakby nie mogła wytrzymać bez chłopów. Tak, tak, Curleya nosi jak cholera, ale jak na razie nic z tego nie wynikło.

– Ona tu jeszcze coś wykręci – rzekł George. – I to

jakiś grubszy numer. Tylko patrzeć, jak ktoś wyląduje przez nią w pierdlu. Ten Curley się jeszcze doczeka. Ranczo, na którym jest tylu chłopa, to nie miejsce dla dziewczyny, a już na pewno nie takiej jak ona.

– Jak chcesz się zabawić, to wybierz się jutro z chłopakami do miasteczka – rzekł Whit.

– Mówisz? A co tam robicie?

– Normalnie, idziemy do starej Susy. Cholernie fajny interes. Stara Susy to wesoła kobitka – sypie żarcikami jak z rękawa. W zeszłym tygodniu na ten przykład, w sobotę wieczorem, ledwie weszliśmy na werandę, a Susy wrzeszczy przez ramię: „Zakładajcie kiecki, dziewczynki, przyszedł szeryf z chłopakami". Ale nigdy się nie wyraża. Ma pięć dziewczynek.

– Ile bierze? – zapytał George.

– Dwa i pół. A kielicha możesz strzelić za dwadzieścia centów. Można sobie też wygodnie posiedzieć. Jeśli facet nie chce panienki, może sobie po prostu posiedzieć, walnąć parę głębszych i spędzić miło czas, a Susy nie ma nic naprzeciwko. Nikogo nie pogania ani nie wykopuje gości za drzwi, jak nie mają ochoty na numerek.

– Można by iść i zobaczyć, jak to wygląda – rzekł George.

– Jasne. Wybierz się z nami. Jest z nią kupa zabawy – wali dowcip za dowcipem. Kiedyś powiada: „Znam takich, co to rzucą stary chodnik na podłogę, postawią lampę z lalką na patefonie i myślą, że prowadzą dom publiczny". Pije do lokalu Clary. „Ja wiem, czego wam trzeba, chłopcy – powiada. – Moje dziewczęta są czyste – powiada – i nie chrzczę whisky

wodą. Jeśli któryś z was chce sobie popatrzeć na taką frymuśną lampę i poparzyć sobie przy okazji palce, to wiecie, dokąd iść". I dodaje: „Pełno tu takich, co chodzą na rozstawionych nogach, bo chcieli sobie popatrzeć na frymuśną lampę".

– Ta Clara prowadzi drugi dom, co? – zapytał George.

– Aha – potwierdził Whit. – Nigdy tam nie chodzimy. Clara bierze trzy dolce od numerka i trzydzieści pięć centów za kielicha i nie potrafi sobie pożartować. A w burdelu Susy jest czysto i można tam wygodnie posiedzieć w fotelu. No i nie wpuszcza żadnej szumowiny.

– My z Lenniem składamy pieniądze – oznajmił George. – Mogę iść i walnąć kielicha, ale nie będę tracił dwóch i pół dolców.

– Człowiek musi się czasem zabawić – powiedział Whit.

Drzwi otworzyły się i do baraku wszedł Lennie z Carlsonem. Lennie powlókł się od razu do pryczy i usiadł na niej, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Carlson sięgnął pod swoją pryczę i wyciągnął tobołek. Nie patrzył na Candy'ego, który wciąż leżał odwrócony do ściany. Wyjął z zawiniątka krótki wycior i puszkę z oliwą. Położył to wszystko na pryczy, potem wyciągnął pistolet, wyjął magazynek, usunął łuskę z komory i zaczął czyścić lufę wyciorem. Kiedy szczęknął wyrzutnik, Candy przewrócił się na drugi bok na pryczy, spojrzał na pistolet i z powrotem obrócił się do ściany.

– Nie było tu jeszcze Curleya? – zapytał od niechcenia Carlson.

– Nie – odparł Whit. – Co tego Curleya tak nosi?

Carlson przymknął oko i zajrzał w lufę pistoletu.

– Szuka swojej starej. Widziałem, jak łazi w kółko po obejściu.

– On szuka wciąż jej, a ona jego – powiedział drwiąco Whit.

Drzwi otworzyły się raptownie i do baraku wpadł Curley.

– Nie widział któryś mojej żony? – zapytał ostro.

– Tu jej nie było – odparł Whit.

Curley potoczył groźnym wzrokiem po izbie.

– Gdzie jest, do cholery, Slim?

– Poszedł do stodoły – rzekł George. – Posmarować mułowi dziegciem rozszczepione kopyto.

Ramiona Curleya chodziły nerwowo w górę i w dół.

– Dawno poszedł?

– Jakieś pięć, dziesięć minut temu.

Curley wypadł z baraku, zatrzaskując za sobą drzwi.

Whit wstał od stołu.

– Chyba pójdę popatrzeć – powiedział. – Curley musi być fest wpieprzony, inaczej nie odważyłby się podskoczyć Slimowi. A jest szybki w rękach, cholernie szybki. Walczył w finale zawodów o Złote Rękawice. Ma nawet gazetę, gdzie o tym pisali. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Ale lepiej, żeby nie podskakiwał Slimowi. Nie wiadomo, na co stać Slima.

– Pewnie myśli, że Slim kombinuje z jego żoną, co? – zapytał George.

– Na to wygląda – rzekł Whit. – Choć to przecież jasne, że tak nie jest. Przynajmniej tak mi się wydaje.

No, ale warto popatrzeć, co się będzie działo, jeśli w ogóle do czegoś dojdzie. Chodźta, chłopaki.

– Ja zostaję – powiedział George. – Nie chcę się do niczego mieszać. My z Lenniem musimy uskładać trochę forsy.

Carlson zakończył czyszczenie pistoletu, włożył go do tobołka i wsunął zawiniątko pod pryczę.

– Pójdę chyba i rozejrzę się za nią – rzekł.

Stary Candy leżał nieruchomo, a Lennie uważnie obserwował George'a ze swej pryczy.

Kiedy drzwi zamknęły się za Whitem i Carlsonem, George zwrócił się do Lenniego:

– Co ty tam znów kombinujesz?

– Nie zrobiłem nic złego, George. Slim powiedział, żebym lepiej tak ciągle nie głaskał tych szczeniaków. Slim mówi, że to nie jest dla nich dobre. No to wróciłem do baraku. Byłem grzeczny, George.

– To tylko ja mogę powiedzieć – rzekł George.

– Nie robiłem im krzywdy. Wziąłem tylko swojego na kolana i trochę go głaskałem.

– Widziałeś w stodole Slima? – zapytał George.

– Jasne. Powiedział mi, żebym lepiej już nie głaskał tego szczeniaka.

– A dziewczynę widziałeś?

– Znaczy się żonę Curleya?

– No. Była w szopie?

– Nie. Ja jej tam nie widziałem.

– Nie widziałeś, żeby Slim z nią rozmawiał?

– Nie. Nie było jej w stodole.

– Okej – rzekł George. – Chyba chłopaki nie doczekają się żadnej bójki. Jakby do czegoś doszło, ty, Lennie, trzymaj się z daleka.

– Ja tam nie chcę żadnej bójki – rzekł Lennie. Wstał z pryczy i usiadł przy stole naprzeciw George'a. Niemal odruchowo George zgarnął karty i zaczął układać pasjansa. Robił to niespiesznie, z głębokim namysłem.

Lennie sięgnął po kartę z figurą, przyjrzał się jej, obrócił i znów ją obejrzał.

– Z obu stron tak samo – powiedział. – Dlaczego z obu stron jest to samo, George?

– Nie wiem – odparł George. – Tak je po prostu robią. Co robił Slim w stodole, jak go widziałeś?

– Slim?

– No, Slim. Widziałeś go przecież w stodole i powiedział ci, żebyś przestał głaskać szczeniaka.

– A tak. Miał blaszankę z dziegciem i pędzel. Nie wiem po co.

– Jesteś pewien, że ta dziewczyna tam nie weszła, tak jak tu do nas rano?

– Nie. W ogóle jej tam nie było.

– Nie ma to jak porządny burdel – westchnął George. – Można pójść, urżnąć się, wywalić z siebie wszystko naraz, bez szumu. I człowiek wie, co go to będzie kosztowało. A ta tutaj może cię jak nic zaprowadzić do pierdla.

Lennie słuchał jego słów z uwagą i zachwytem, poruszając lekko wargami, jakby mu wtórował.

– Pamiętasz Andy'ego Cushmana, Lennie? Tego ze szkoły podstawowej?

– Tego, co to jego stara piekła ciasteczka dla dzieciaków?

– Tego samego. Jak mowa o żarciu, to pamiętasz wszystko. – George przyjrzał się uważnie kartom.

Położył asa, a na nim dwójkę, trójkę i czwórkę karo.

– Siedzi teraz w San Quentin, i to właśnie przez dziwkę.

Lennie bębnił palcami w blat stołu.

– George?

– Czego?

– George, kiedy my sobie kupimy to małe gospodarstwo i będziemy żyli z tego, co da ziemia, i z królików?

– Nie wiem – odparł George. – Musimy uskładać dużo forsy. Znam takie jedno miejsce, gdzie można tanio kupić ziemię, ale za darmo jej nie dają.

Candy przewrócił się powoli na drugi bok. Oczy miał szeroko otwarte. Przyjrzał się uważnie George'owi.

– Opowiedz o tym, George – poprosił Lennie.

– Już ci opowiadałem, nie dalej jak wczoraj wieczorem.

– Proszę cię, opowiedz jeszcze raz, George.

– No więc będzie tego dziesięć akrów – zaczął George. – Będzie tam mały wiatrak, chałupka i kurnik. Kuchnia, sad, w sadzie wiśnie, jabłonie, brzoskwinie, morele, orzechy, trochę porzeczek i agrestu. Będzie też zagon koniczyny i woda do podlewania. I mały chlewik...

– I króliki, George.

– Na razie nie ma tam miejsca dla królików, ale raz-dwa zbuduję parę klatek i będziesz mógł tam trzymać króliki i karmić je koniczyną.

– Jasne, że będę mógł – rzekł Lennie. – Święte słowa, George. Będę to robił.

George przestał układać karty. Jego głos nabrał teraz cieplejszych tonów.

– Moglibyśmy mieć kilka prosiąt. Mógłbym zbudować wędzarnię, taką jak miał mój dziadek, i po ubiciu świni wędzić boczek i szynki, robić kiełbasy i różności. A kiedy łososie ruszą w górę rzeki, nałapać ich z setkę i zasolić albo uwędzić. I mielibyśmy co jeść na śniadanie. Nie ma nic lepszego od wędzonego łososia. Moglibyśmy robić przetwory z owoców i pomidory w wekach, to łatwizna. W każdą niedzielę zarzynałoby się kurczaka albo królika. Może mielibyśmy też krowę albo kozę i śmietana na mleku byłaby taka gruba, że kroiłoby się ją nożem i zbierało łyżką.

Lennie, podobnie zresztą jak Candy, wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi oczami.

– I żylibyśmy z tego, co daje ziemia – powiedział cicho.

– Jasne – przytaknął George. – Mielibyśmy rozmaite warzywa i jarzyny w ogródku, a gdyby nam się zachciało whisky, sprzedalibyśmy trochę jajek, mleka albo czego innego. Żylibyśmy sobie tam po prostu. To byłoby nasze miejsce. I koniec z włóczęgą po całym stanie i żarciem pichconym przez jakichś Japońców. Nie, szanowny panie, mielibyśmy własny kąt, naprawdę nasz, i nie spalibyśmy w żadnych barakach.

– Powiedz jeszcze o domu, George – rzekł błagalnie Lennie.

– Mielibyśmy oczywiście domek, tylko dla siebie. Byłby tam mały, pękaty piecyk żeliwny, w którym zimą buzowałby stale ogień. Ziemi nie byłoby tyle, żeby człowiek musiał się zabijać. Pracowałoby się jakieś sześć, siedem godzin dziennie. Nie musielibyśmy dźwigać worków z jęczmieniem przez jedenaście

godzin na dobę. Co by człowiek posiał, to by miał dla siebie. Wiedzielibyśmy, jakie zbierzemy plony.

– I króliki – rzekł Lennie z przejęciem. – Będę ich doglądał. Opowiedz, jak będę to robił, George.

– Pójdziesz na zagon koniczyny, napchasz pełny worek i zaniesiesz królikom do klatek.

– A one będą skubać i skubać, jak to króliki – rzekł Lennie. – Widziałem, jak to robią.

– Tak gdzieś co sześć tygodni, czy coś koło tego, króliki będą miały małe, tak że starczy ich i na sprzedaż, i do jedzenia. Będziemy też mieli parę gołębi, żeby latały koło wiatraka tak jak u nas w domu, kiedy byłem mały. – Utkwił rozmarzone spojrzenie w ścianie nad głową Lenniego. – I to wszystko będzie nasze własne i nikt nas stamtąd nie wyrzuci. A jakby nam się ktoś nie spodobał, moglibyśmy powiedzieć: „Zjeżdżaj stąd, bracie", i musiałby się wynieść. A jakby przyszedł jakiś przyjaciel, mielibyśmy dla niego dodatkowe łóżko i moglibyśmy powiedzieć: „Może byś tak został na noc?", i on mógłby u nas przekimać. Mielibyśmy psa setera i parę pręgowanych kotów, tylko musiałbyś drani pilnować, żeby się nie dobrały do małych królików.

Lennie dyszał ciężko.

– Niechby spróbowały dobrać się do królików, a łby im poukręcam. Zatłukę je... zatłukę dranie kijem.

Umilkł, ale wciąż pomrukiwał groźnie, jakby ostrzegał przyszłe koty, żeby się nie ważyły tykać przyszłych królików.

George siedział nieruchomo, urzeczony wizją, jaką sam roztoczył.

Kiedy Candy przemówił znienacka, obaj aż podskoczyli, jak gdyby ich ktoś przyłapał na gorącym uczynku.

– Znacie takie miejsce?

– Przypuśćmy, że znamy – powiedział George, zjeżony. – Co ci do tego?

– Nie musisz mi mówić, gdzie to jest. Takie miejsce może być wszędzie.

– Jasne – rzekł George. – Święta prawda. Nie znalazłbyś go i przez sto lat.

– Ile wołają za coś takiego? – dopytywał się podekscytowany Candy.

George przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Hm, mógłbym to kupić za sześćset dolców. Staruszkowie, którzy mają to gospodarstwo, długo już nie pożyją, a do tego ona musi iść na operację. Słuchaj no, o co ci chodzi? To są nasze sprawy.

– Ja już nie jestem zdatny do niczego z tą jedną ręką. Straciłem ją tu, na tym ranczu. Dlatego dali mi pracę zamiatacza. A za tę rękę wypłacili mi dwieście pięćdziesiąt dolarów. Miałem już pięćdziesiąt uskładanych w banku. To daje razem trzysta, a pod koniec miesiąca dostanę jeszcze pięćdziesiąt. Coś wam powiem. – Wychylił się podniecony z pryczy. – Przypuśćmy, że wszedłbym z wami do spółki. Z tymi trzema setkami dolarów. Nie ma ze mnie wielkiego pożytku, ale mógłbym gotować, doglądać kurcząt i trochę plewić w ogródku. Co wy na to?

George przymknął oczy.

– Muszę to przemyśleć. Zawsze był taki plan, że zrobimy to sami…

– Spiszę testament – przerwał mu Candy – i zostawię wam moją część na wypadek, jakbym wyciągnął kopyta. Nie mam żadnej rodziny ani nikogo. A wy macie jakąś forsę? Może moglibyśmy kupić to już teraz?

George skrzywił się i splunął na podłogę.

– Mamy do spółki dziesięć dolców. Słuchaj – dodał po namyśle – gdybyśmy przepracowali z Lenniem miesiąc i nic nie wydali, mielibyśmy stówę. To dawałoby razem czterysta pięćdziesiąt. Jestem pewien, że to by wystarczyło na początek. Potem ty i Lennie zajęlibyście się gospodarstwem, a ja znalazłbym jakąś robotę i skombinowałbym resztę. A wy moglibyście tymczasem sprzedawać jajka i takie tam…

Zapadła cisza. Patrzyli jeden na drugiego, z lekka oszołomieni. To, co tak naprawdę nigdy nie wydawało im się realne, teraz miało się spełnić.

– Chryste Panie – rzekł George z namaszczeniem. – My naprawdę moglibyśmy wystartować. – Oczy mu jaśniały. – Naprawdę możemy wystartować – powtórzył cicho.

Candy usiadł na brzegu pryczy i nerwowo drapał kikut.

– Straciłem rękę cztery lata temu – powiedział. – Tylko patrzeć, jak mnie stąd wywalą. Jak się tylko okaże, że nie daję rady sprzątać baraków, oddadzą mnie do przytułku. Może jakbym wam dał, chłopaki, swoją forsę, pozwolilibyście mi pogrzebać trochę w ogrodzie, nawet jeśli nie będzie mi to szło za dobrze. Mógłbym zmywać naczynia, zająć się kurczakami i takimi tam sprawami. Byłbym przynajmniej na swoim i mógłbym pracować. Widzieliście, co zrobili dzisiaj z moim psem – ciągnął żałosnym tonem. – Powiedzieli, że nie ma z niego żadnego pożytku. Jakby mnie stąd wylali, to wolałbym, żeby mnie kto zastrzelił. Ale nikt tego nie zrobi. Nie mam dokąd iść i nie dostanę już nigdzie roboty. Do tego czasu, jak

będziecie gotowi, żeby stąd odejść, dostanę jeszcze trzydzieści dolarów.

George wstał od stołu.

– Zrobimy to – powiedział. – Zagospodarujemy ten kawałek ziemi i będziemy sobie tam żyli. – Usiadł z powrotem. Wszyscy trzej zastygli na chwilę bez ruchu; zauroczeni wspaniałą wizją, wybiegali myślami w przyszłość, kiedy ich marzenia się ziszczą.

– Dajmy na to, do miasta przyjeżdża cyrk albo będzie jarmark, mecz czy inne cholerstwo... – rzekł w zadumie George. Stary Candy pokiwał z aprobatą głową. – Wtedy po prostu sobie pójdziemy. Nie będziemy nikogo pytać o zgodę. Powiemy tylko: „Idziemy, chłopaki", i pójdziemy. Wydoimy krowę, podsypiemy kurczakom trochę ziarna – i jazda.

– I damy trochę trawy królikom – wtrącił Lennie. – Będę zawsze pamiętał, żeby je nakarmić. Kiedy to będzie, George?

– Za miesiąc. Równiutko za miesiąc. Wiecie, co zrobię? Napiszę do tych staruszków, że bierzemy to gospodarstwo. A Candy pośle sto dolarów zadatku.

– Jasne – powiedział Candy. – A mają tam porządny piec?

– Pewnie, że mają. Na węgiel albo na drewno.

– Wezmę mojego szczeniaka – planował Lennie. – O Jezu, na pewno mu się tam spodoba. Jak Boga kocham, że będzie zadowolony.

Z zewnątrz dobiegł gwar zbliżających się głosów.

– Nic nikomu nie mówcie – rzucił pospiesznie George. – Tylko my trzej i nikt więcej. Jeszcze nas wywalą i nie zbierzemy tej forsy. Robimy wszystko tak, jakbyśmy mieli do końca życia targać wory

z jęczmieniem, a potem pewnego dnia po prostu weźmiemy wypłatę i wyniesiemy się stąd.

Lennie i Candy skinęli głowami, szczerząc zęby w radosnym uśmiechu.

– Nie mów nikomu – powiedział Lennie do siebie.

– George? – odezwał się Candy.

– Tak?

– Lepiej by było, jakbym sam zastrzelił tego psa. To źle, że pozwoliłem zastrzelić swojego psa obcemu.

Drzwi się otworzyły i do baraku wszedł Slim, a za nim Curley, Carlson i Whit. Slim miał ręce czarne od dziegciu i nachmurzoną twarz. Curley szedł tuż za nim.

– Ja nic nie mówię, Slim – tłumaczył Curley. – Tylko pytałem.

– No więc za dużo mnie pytasz – odparł Slim. – Rzygać mi się chce od tego. Jak nie umiesz sam upilnować swojej własnej cholernej żony, to co ja ci poradzę? Odwal się ode mnie.

– Ja nic nie mówię – powtórzył Curley. – Pomyślałem tylko, że może ją widziałeś.

– Dlaczego, do cholery, nie każesz jej siedzieć w chałupie, gdzie jej miejsce? – zapytał Carlson. – Pozwalasz jej się kręcić koło baraków i ani się obejrzysz, jak się coś stanie, a wtedy już nic nie poradzisz.

Curley odwrócił się do niego gwałtownie.

– A tobie nic do tego. Zamknij się, chyba że chcesz wyjść przed barak.

– Ty pieprzony śmieciu – zaśmiał się szyderczo Carlson. – Próbowałeś nastraszyć Slima i ci nie wyszło. Sam się go przestraszyłeś. Śmierdzący tchórz z ciebie. Wisi mi to, że jesteś najlepszym bokserem

w okolicy. Spróbuj mi tylko podskoczyć, a rozwalę ci ten pieprzony łeb!

Candy przyłączył się ochoczo do ataku.

– Rękawiczka pełna wazeliny – powiedział z obrzydzeniem.

Curley spojrzał nań z nienawiścią, a potem potoczył wzrokiem po obecnych i zatrzymał go na Lenniem, który uśmiechał się jeszcze błogo na wspomnienie niedawnej rozmowy o ranczu.

Syn gospodarza doskoczył do niego jak wściekły terier.

– Z czego się, do cholery, śmiejesz?

Lennie spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Że co? – zapytał.

Curley dosłownie eksplodował.

– No, jazda, ty wielki skurwysynu! Wstawaj! Żaden wielki skurwysyn nie będzie się ze mnie śmiał! Ja wam pokażę, kto tu jest tchórzem.

Lennie spojrzał bezradnie na George'a, po czym wstał i zaczął się wycofywać. Curley przyjął postawę bokserską i nagle strzelił go lewym prostym, a potem trafił w nos prawym. Lennie wydał okrzyk przerażenia. Krew trysnęła mu z nosa.

– George! – zawołał. – Niech on mnie zostawi, George!

Cofał się w głąb baraku, aż oparł się o ścianę; Curley postępował za nim, okładając go pięściami po twarzy. Ręce Lenniego zwisały bezwładnie; był zbyt przerażony, by się bronić.

George zerwał się na nogi.

– Dołóż mu, Lennie! – wrzasnął. – Nie daj się!

Lennie zakrył twarz wielkimi łapskami i rozbeczał się z przerażenia.

– George, niech on przestanie! – zawodził.

Curley uderzył go w żołądek, pozbawiając tchu.

Slim podskoczył do Curleya.

– Ty parszywy mały szczurze! – krzyknął. – Ja cię załatwię!

– Zaczekaj! – powstrzymał go George. Przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie i ryknął: – Wal go, Lennie!

Lennie opuścił dłonie, odsłaniając twarz, i rozejrzał się, szukając wzrokiem George'a; w tej samej sekundzie Curley trafił go w oko. Wielka twarz spłynęła krwią.

– Mówię ci, wal go! – zawołał znowu George.

Lennie zablokował kolejny cios. W następnej chwili Curley miotał się jak ryba na wędce, a jego zaciśnięta pięść znikła w potężnej dłoni Lenniego.

George rzucił się w ich stronę.

– Puść go, Lennie. Puść go, mówię!

Ale Lennie patrzył tylko ze zgrozą na zwisającego bezwładnie u jego dłoni człowieczka. Krew zalewała Lenniemu twarz, jedno oko miał rozbite i przymknięte. George okładał go raz za razem po twarzy, ale Lennie nie rozluźniał uścisku. Curley pobladł jak papier, skurczył się, jego opór słabł. Stał i krzyczał z dłonią uwięzioną w potężnym łapsku Lenniego.

– Puść tę rękę, Lennie, puść tę rękę! – wołał w kółko George. – Pomóż mi, Slim, bo facet straci dłoń.

Nagle Lennie rozluźnił chwyt i ukucnął skulony pod ścianą.

– Ty mi kazałeś, George – powiedział żałosnym tonem.

Curley usiadł na podłodze, przypatrując się ze zdziwieniem swojej zmiażdżonej dłoni. Slim i Carlson pochylili się nad nim. W końcu Slim wyprostował się, spoglądając ze zgrozą na Lenniego.

– Trzeba go zawieźć do lekarza – powiedział. – Ma chyba zgruchotane wszystkie kości.

– Ja nie chciałem! – zawołał Lennie. – Nie chciałem mu zrobić krzywdy.

– Zaprzęgaj bryczkę, Carlson. Zawieziemy go do Soledad, żeby go poskładali.

Carlson wybiegł z baraku.

– To nie twoja wina – zwrócił się Slim do szlochającego Lenniego. – Ten śmieć sam się napraszał. Ale, Jezu Chryste, niewiele brakowało, a facet zostałby bez ręki!

Odszedł pospiesznie i po chwili wrócił z wodą. Przytknął blaszany kubek do warg Curleya.

– Slim, czy teraz nas stąd przegonią? – zapytał George. – My musimy zarobić trochę forsy. Czy stary Curleya nas teraz wywali?

Slim uśmiechnął się chytrze. Uklęknął obok Curleya.

– Jesteś na tyle przytomny, żeby słuchać? – zapytał.

Curley skinął głową.

– No więc słuchaj – ciągnął Slim. – Według mnie ręka wkręciła ci się w maszynę. Jak nikomu nie powiesz, co się tu stało, my też nic nie powiemy. Ale spróbuj się tylko poskarżyć i wykurzyć tego faceta z rancza, to rozpowiemy wszystkim dookoła, jak było, i zrobisz z siebie pośmiewisko.

– Nie powiem – przyrzekł Curley. Starał się nie patrzeć na Lenniego.

Na zewnątrz rozległ się turkot dwukółki. Slim pomógł Curleyowi wstać.

– No chodź, Carlson zawiezie cię do doktora. – Wyprowadził Curleya z baraku.

Gdy tylko ucichł skrzyp kół, Slim wrócił. Spojrzał na Lenniego, który wciąż kulił się zalękniony pod ścianą.

– Pokaż no te swoje łapy – powiedział.

Lennie wyciągnął ręce przed siebie.

– Chryste, nie chciałbym ci się za żadne skarby narazić – pokręcił głową Slim.

– Lennie się po prostu wystraszył – wtrącił George. – Nie wiedział, co robić. Mówiłem ci, że nie wolno z nim zaczynać. Chociaż nie, mówiłem to chyba Candy'emu.

Candy z powagą skinął głową.

– Święta prawda – rzekł. – Nie dalej jak dziś rano, jak Curley pierwszy raz naskoczył na twojego kumpla, powiedziałeś: „Niech on lepiej nie denerwuje Lenniego, dla swojego własnego dobra". Tak właśnie powiedziałeś.

– To nie twoja wina – zwrócił się George do Lenniego. – Nie musisz się już bać. Zrobiłeś tylko to, co ci kazałem. Idź teraz lepiej do umywalni i obmyj twarz. Wyglądasz jak potępieniec.

Lennie uśmiechnął się opuchniętymi ustami.

– Nie chciałem kłopotów – powiedział. Ruszył w stronę drzwi, ale w progu odwrócił się do George'a.

– George?

– Czego chcesz?
– Będę mógł doglądać królików?
– Jasne. Nie zrobiłeś nic złego.
– Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy, George.
– No dobra, idź już, do cholery, i umyj tę gębę.

Crooks, czarny stajenny, miał swoje legowisko w składzie z uprzężą, niewielkiej szopie przylegającej do stodoły. Po jednej stronie ciasnego pomieszczenia znajdowało się małe kwadratowe okno z czterema szybkami, po drugiej – wąskie, zbite z desek drzwi prowadzące do stodoły. Sypiał Crooks w skrzyni napełnionej słomą, którą przykrywał derkami. Na wbitych obok okna kołkach wisiały uszkodzone, przeznaczone do naprawy części uprzęży i pasy nowej skóry, a pod oknem stał mały warsztat z narzędziami rymarskimi – zakrzywionymi nożami, szydłami, szpulami dratwy i małą ręczną nitownicą. Na kołkach wisiały też różne detale uprzęży, rozdarte chomąto z wyłażącym włosiem, złamany orczyk i obszyty skórą łańcuch. Także i Crooks miał nad pryczą swoją półkę ze skrzynki po jabłkach, a na niej zestaw buteleczek z lekami – dla siebie i dla koni – puszki ze smarem i przeciekającą blaszankę z dziegciem, z której sterczał pędzel. Na podłodze poniewierały się osobiste drobiazgi Crooksa. Mieszkał sam, mógł więc wszystko tak zostawiać, a że jako stajenny i kaleka był już na tym jednym ranczu dłużej od innych, zgromadził więcej rupieci, niż potrafiłby unieść na grzbiecie.

Był zatem posiadaczem kilku par butów, pary gumiaków, wielkiego budzika i strzelby jednorurki.

Miał też książki – podarty słownik i rozlatujący się egzemplarz kalifornijskiego kodeksu cywilnego z 1905 roku – a na oddzielnej półce nad pryczą trzymał stertę zaczytanych czasopism i kilka innych, zatłuszczonych książek. Na wbitym w ścianę gwoździu wisiały duże okulary w złotych oprawkach.

Izdebka była zamieciona i czysta, Crooks należał bowiem do ludzi dumnych, wręcz wyniosłych. Zachowywał dystans i wymagał tego samego od innych. Skrzywiony kręgosłup sprawiał, że chodził zgięty w pół. Osadzone głęboko oczy robiły wrażenie, jakby płonęły intensywnie. Jego wychudła twarz poorana była zmarszczkami, odbijały od niej jaśniejszą kreską wargi – cienkie, zacięte, jak gdyby naznaczone cierpieniem.

Był sobotni wieczór. Przez otwarte drzwi prowadzące do stodoły dochodziły szmery i szelesty, stukot końskich kopyt, chrzęst mielonego w zębach siana, pobrzękiwanie łańcuchów przy kantarach. Mała żarówka rzucała nikłe żółtawe światło na ściany izdebki stajennego.

Crooks siedział na swym posłaniu, z koszulą wyciągniętą z tyłu ze spodni. W jednej ręce trzymał buteleczkę z jakimś płynem, drugą nacierał sobie grzbiet. Raz po raz wylewał parę kropel smarowidła na różową dłoń, sięgał pod koszulę i nacierał znowu. Napinał mięśnie na plecach i lekko dygotał.

W otwartych drzwiach pojawił się bezszelestnie Lennie. Masywna sylwetka niemal wypełniała ich prostokąt. Crooks nie zauważył go od razu, ale kiedy podniósł wzrok, zesztywniał cały i na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. Wyjął rękę spod koszuli.

Lennie uśmiechał się bezradnie, starając się okazać, że ma przyjazne zamiary.

– Nie wolno ci wchodzić do mojej izby. To jest moja izba. Nikt oprócz mnie nie ma prawa tu wchodzić.

Lennie przełknął ślinę, a jego uśmiech stał się jeszcze bardziej przymilny.

– Ja nic nie robię – tłumaczył. – Przyszedłem tylko popatrzeć na mojego szczeniaka. I zobaczyłem u ciebie światło.

– Mam prawo mieć światło. Wynoś się z mojej izby. Mnie nie chcą w waszym baraku, a ja nie chcę ciebie w mojej izbie.

– Dlaczego cię nie chcą? – zapytał Lennie.

– Bo jestem czarny. Grają w karty, ale ja nie mogę grać z nimi, bo jestem czarny. Mówią, że śmierdzę. A ja ci powiem, że dla mnie to wy wszyscy śmierdzicie.

Lennie zamachał bezradnie swymi wielkimi rękami.

– Wszyscy poszli do miasta – powiedział. – Slim i George, i wszyscy. George kazał mi zostać i powiedział, żebym czegoś nie zbroił. I zobaczyłem u ciebie światło.

– No dobrze, czego chcesz?

– Niczego. Zobaczyłem u ciebie światło. Pomyślałem, że mógłbym wejść i posiedzieć.

Crooks zmierzył go wzrokiem, sięgnął za siebie, zdjął z gwoździa okulary i założywszy druciane pałąki za różowe uszy, przyjrzał mu się jeszcze raz.

– Nie wiem, co ty właściwie robisz w stodole – powiedział gderliwie. – Nie jesteś woźnicą. Zwykły parobek nie ma w stodole nic do roboty. Nie jesteś woźnicą. Nie masz nic wspólnego z końmi.

– Szczeniak – powtórzył Lennie. – Przyszedłem popatrzeć na mojego szczeniaka.

– No to idź i patrz na swojego szczeniaka, a nie pchaj się tam, gdzie cię nie chcą.

Uśmiech zniknął z twarzy Lenniego. Postąpił krok naprzód, ale opamiętał się i cofnął do drzwi.

– Popatrzyłem sobie trochę na nie. Slim powiedział, żebym ich za dużo nie głaskał.

– No bo wyciągałeś je wciąż z legowiska. Dziwię się, że stara nie przeniosła ich gdzie indziej.

– Och, ona wcale nie ma nic naprzeciwko. Pozwala mi je głaskać. – Lennie znów zrobił krok do przodu. Crooks nachmurzył się, ale rozbrajający uśmiech Lenniego uspokoił go.

– Wejdź, usiądź na chwilę – powiedział. – Skoro już nie chcesz wyjść i zostawić mnie w spokoju, to siadaj. Wszyscy chłopcy poszli do miasta, co? – zagadnął bardziej przyjaznym tonem.

– Został tylko stary Candy. Siedzi w baraku, ostrzy ołówek i rachuje.

Crooks poprawił okulary na nosie.

– Rachuje? A cóż może rachować Candy?

– Króliki! – niemal wykrzyknął Lennie.

– Jesteś wariat – powiedział Crooks. – Jesteś głupi jak but. Jakie znowu króliki?

– Te, co je będziemy mieli, i ja ich będę doglądał, ciął dla nich trawę i dawał im wody, i w ogóle.

– Normalny wariat – mruknął Crooks. – Nie dziwię się temu facetowi, z którym chodzisz za robotą, że każe ci się trzymać z boku.

– Ja nie kłamię – powiedział spokojnie Lennie. – Będzie tak, jak mówię. Kupimy małe gospodarstwo i będziemy żyli z tego, co da ziemia.

Crooks usadowił się wygodniej na swym legowisku.

– Siadaj – powiedział. – Usiądź tam, na tej beczułce z gwoździami.

Lennie przycupnął na niewielkiej beczce.

– Myślisz, że ja kłamię – powiedział. – A ja nie kłamię. Wszystko to prawda, każde moje słowo, możesz spytać George'a.

Crooks oparł czarny podbródek w różowym zagłębieniu stulonej dłoni.

– Chodzisz za robotą z tym George'em, no nie?

– Jasne. Wszędzie chodzimy razem.

– I czasem on coś mówi – ciągnął Crooks – a ty za cholerę nie wiesz, o co mu chodzi, prawda? – Wychylił się do przodu, przewiercając Lenniego na wylot spojrzeniem głęboko osadzonych oczu. – Prawda? – powtórzył.

– Aha... czasami.

– On gada, a ty nie wiesz, o co mu, cholera, idzie.

– Tak... czasami. Ale nie zawsze.

Crooks wychylił się jeszcze bardziej do przodu.

– Nie jestem Murzynem z Południa – powiedział. – Urodziłem się tutaj, w Kalifornii. Mój staruszek miał kurzą fermę, jakieś dziesięć akrów. Przychodziły do nas bawić się białe dzieci, czasami ja chodziłem się bawić z nimi i niektóre były całkiem miłe. Mojemu staremu się to nie podobało. Nie wiedziałem wtedy dlaczego. Teraz już wiem. – Zawahał się, a kiedy podjął swój monolog, jego głos był łagodniejszy. – Nie było tam w promieniu wielu mil żadnej kolorowej rodziny. I teraz nie ma żadnego kolorowego na tym ranczu, jest tylko jedna murzyńska rodzina w Soledad. – Roześmiał się. – A zresztą, wszystko, co mówię, to tylko murzyńskie gadanie.

– Kiedy te szczeniaki będą takie duże, że będzie można je głaskać? – zapytał Lennie.

Crooks znowu się roześmiał.

– Do ciebie można mówić i mówić i człowiek może być pewien, że niczego nie wygadasz. Będą duże za parę tygodni. Ten George wie, co robi. Mówi do ciebie, choć ty i tak nic nie rozumiesz. – Znowu wychylił się do przodu, podniecony. – To tylko takie murzyńskie gadanie, i to gadanie faceta z przetrąconym grzbietem. Nie ma żadnego znaczenia, rozumiesz? I tak nic nie zapamiętasz. Wciąż to widzę dookoła: facet mówi do drugiego, i nie ma znaczenia, czy tamten słyszy albo rozumie. Rzecz w tym, czy mówią, czy tylko siedzą i nie mówią. Poza tym nic się nie liczy, nic. – Podniecał się coraz bardziej, zaczął walić kułakiem w kolano. – George może ci nagadać głupot, i nie ma to żadnego znaczenia. Liczy się to, że mówi. Że jest się z innym facetem. I to wszystko.

Zrobił krótką pauzę; kiedy znów przemówił, jego głos był łagodny i przekonywający.

– Przypuśćmy, że George już tu nie wróci. Przypuśćmy, że weźmie nogi za pas i nie wróci. Co wtedy zrobisz?

Do Lenniego docierała powoli treść tego, co powiedział Crooks.

– Że niby jak? – zapytał.

– Mówię: przypuśćmy, że George poszedł dziś do miasta i już nigdy o nim nie usłyszysz. – Crooks delektował się swym małym prywatnym triumfem. – Tylko przypuśćmy – powtórzył.

– On tego nie zrobi! – zawołał Lennie. – George nie zrobiłby czegoś takiego. Jestem z nim już tak długo. On wróci dziś wieczorem. – Nie mógł sobie

jednak poradzić z wątpliwościami, które go nagle opadły. – Myślisz, że mógłby to zrobić?

Twarz Crooksa aż promieniała, tak bardzo rozkoszował się męką Lenniego.

– Trudno przewidzieć, co komu przyjdzie do głowy – zauważył ze stoickim spokojem. – Przypuśćmy, że zechce wrócić, a nie będzie mógł. Przypuśćmy, że go zabiją albo zranią i nie będzie mógł wrócić.

Lennie usiłował zrozumieć jego wywody.

– George nie zrobiłby czegoś takiego – powtórzył. – George jest ostrożny. Nic mu się nie stanie. Jemu się nigdy nie dzieje nic złego, bo on jest ostrożny.

– No dobrze, ale przypuśćmy, po prostu przypuśćmy, że nie wróci. Co wtedy zrobisz?

Twarz Lenniego aż zmarszczyła się z wysiłku, tak bardzo starał się ogarnąć to wszystko rozumem.

– Nie wiem. Ty, co ty w ogóle gadasz?! – zawołał. – To nieprawda. George'owi nic nie jest!

Crooks znęcał się nad nim dalej.

– Mam ci powiedzieć, co się z tobą stanie? Zabiorą cię do czubków i tam cię uwiążą na łańcuchu jak psa.

Nagle Lennie skupił wzrok na jednym punkcie i w jego oczach pojawiło się zimne szaleństwo. Wstał i ruszył groźnie w stronę Crooksa.

– Kto zrobił krzywdę George'owi? – zapytał agresywnie.

Crooks uświadomił sobie grożące mu niebezpieczeństwo. Cofnął się w głąb swego legowiska.

– To tylko takie przypuszczenie, co by było gdyby. George'owi nic się nie stało. Jest cały i zdrowy. Wróci na pewno.

Lennie stał groźnie nad nim.

– To po co takie przypuszczenie? Nikomu nie wolno gadać, że George'owi coś się stało.

Crooks zdjął okulary i przetarł oczy palcami.

– Siadajże – powiedział. – George'owi nic nie jest.

Lennie, pomrukując groźnie, wrócił na swoją beczkę z gwoździami.

– Nikomu nie wolno gadać, że George'owi coś się stało – burknął.

– Może teraz pojmiesz – rzekł łagodnie Crooks. – Ty masz swojego George'a. Wiesz na pewno, że wróci. A przypuśćmy, że nikogo nie masz. Przypuśćmy, że nie wolno ci iść do baraku i grać w karty, bo jesteś czarny. Jak by ci się to podobało? Przypuśćmy, że musiałbyś tu siedzieć i czytać książki. Jasne, możesz grać aż do zmroku w podkowy, ale potem musisz czytać. Książki są psa warte. Człowiek musi mieć kogoś bliskiego. Dostaje fioła, jak nikogo nie ma. – Głos mu się łamał. – Nieważne, kim jest ten drugi, byleby tylko był. Mówię ci! – zawołał. – Mówię ci, człowiek z tej samotności może się rozchorować!

– George wróci – zapewniał samego siebie przestraszonym głosem Lennie. – Może już wrócił. Pójdę lepiej i zobaczę.

– Nie chciałem cię straszyć – powiedział Crooks. – On wróci. Ja mówiłem o sobie. Człowiek siedzi tu sam, nocą, czyta albo rozmyśla, i takie tam... Czasem coś sobie pomyśli i nie ma nikogo, kto by mu powiedział, czy to tak jest naprawdę, czy nie. Nie może się zwrócić do innego faceta i zapytać, czy on też tak myśli. Niczego nie jest pewien. Nie ma żadnej miary. Widziałem tu różności. Nie byłem pijany. Nie wiem, czy to było we śnie. Gdyby był ktoś ze mną, mógłby

mi powiedzieć, że mi się to przyśniło, i wszystko byłoby w porządku. Ale tak, to ja nic nie wiem. – Crooks patrzył teraz w okno.

– George nie pójdzie sobie i nie zostawi mnie samego – powiedział Lennie żałośnie. – Ja wiem, że George tego nie zrobi.

– Pamiętam – ciągnął Murzyn rozmarzonym głosem – jak byłem małym chłopcem, jeszcze na fermie mojego starego. Miałem dwóch braci. Zawsze trzymaliśmy się razem, zawsze drugi był pod bokiem. Spaliśmy w tej samej izbie, nawet w jednym łóżku. Mieliśmy grządkę truskawek. Mieliśmy zagon koniczyny. W słoneczne ranki wypuszczało się tam kurczaki. Moi bracia siadali na płocie i pilnowali ich, a wszystkie były białe.

Jego opowieść zaczynała stopniowo wciągać Lenniego.

– George mówi, że będziemy mieli zagon koniczyny dla królików.

– Dla jakich królików?

– Będziemy mieli króliki i porzeczki, i agrest.

– Jesteś stuknięty.

– A właśnie że będziemy mieli. Zapytaj George'a.

– Jesteś stuknięty – powtórzył pogardliwie Crooks. – Widziałem setki takich, co to chodzą od rancza do rancza z tobołkami na plecach i takimi samymi głupotami we łbach. Setki. Przychodzą, odchodzą, i tak w kółko, a każdemu tkwi we łbie ten cholerny kawałek ziemi. I żaden z nich za cholerę go nie będzie miał. To tak jak z niebem. Przeczytałem tu masę książek. Nikt nigdy nie trafia do nieba, nikt nie kupuje swojego kawałka ziemi. To wszystko jest tylko w ich głowach. Wciąż o tym gadają, ale wszystko

kończy się na planach. – Przerwał na chwilę i spojrzał w stronę otwartych drzwi, bo konie zaczęły poruszać się niespokojnie, aż zadzwoniły łańcuchy. Jeden z koni zarżał. – Ktoś tam chyba łazi – powiedział Crooks. – Może to Slim. Slim tu zagląda w nocy, czasem dwa, trzy razy. To prawdziwy fachman. Dba o swój zaprzęg. – Zwlókł się z trudem z posłania i ruszył w stronę drzwi. – To ty, Slim? – zawołał.

Odpowiedział mu głos Candy'ego:

– Slim poszedł do miasta. Nie wiesz, gdzie jest Lennie?

– Ten wielkolud?

– Aha. Nie widziałeś go czasem?

– Jest tu, u mnie – mruknął Crooks. Wrócił do legowiska i położył się.

Candy stanął w drzwiach; drapał swój kikut i mrużąc oczy, rozglądał się po oświetlonej izdebce. Nawet nie próbował wejść dalej.

– Wiesz co, Lennie? Już z grubsza skarkulowałem z tymi królikami.

– Możesz wejść, jak chcesz – rzekł rozdrażnionym głosem Crooks.

Candy był najwyraźniej zakłopotany.

– No, nie wiem... Pewnie, że mogę, jak tak mówisz...

– Właź. Skoro każdy tu wchodzi, to możesz i ty. – Crooks z trudem ukrywał zadowolenie.

Candy wszedł do izby, ale wciąż czuł się nieswojo.

– Przytulny masz tu kącik – powiedział do Crooksa. – To chyba fajnie mieć taki pokój tylko dla siebie.

– Jasne – rzekł Crooks. – I to jeszcze z kupą końskiego gnoju pod oknem. Jasne, to pełny luksus.

– Mówiłeś coś o królikach – przypomniał Lennie.

Candy oparł się o ścianę obok rozprutego chomąta i drapał się po kikucie.

– Jestem tu od lat – rzekł – i Crooks jest tu od lat, i jeszcze nigdy u niego nie byłem.

– Chłopaki nie zaglądają zbyt często do izby kolorowego – rzekł Crooks ponuro. – Nikt tu nie zachodzi oprócz Slima. Slima i gospodarza.

Candy pospiesznie zmienił temat.

– Slim to najlepszy szef parobków, jakiego znam.

Lennie pochylił się w stronę starego zamiatacza.

– Króliki... – powtórzył z uporem.

Candy uśmiechnął się.

– Wszystko wyliczyłem. Jak się dobrze do tego zabrać, to moglibyśmy jeszcze na tych królikach trochę zarobić.

– Ale ja będę ich doglądał – wszedł mu w słowo Lennie. – George tak powiedział. Obiecał mi to.

– Oszukujecie się tylko, chłopaki – przerwał im brutalnie Crooks. – W kółko o tym gadacie i gadacie, ale nigdy nie będziecie mieli tego kawałka ziemi. Będziesz tu zamiatał, Candy, aż cię wyniosą w skrzyni. Zbyt wielu już takich, cholera, widziałem. A ten tutaj Lennie rzuci tę robotę i za dwa, trzy tygodnie znów będzie w drodze. Wszystkim tylko ta ziemia w głowie.

Candy ze złością potarł zarośnięty policzek.

– A ja ci, cholera, mówię, że to zrobimy. George powiedział, że się uda. Już mamy forsę.

– Tak? – rzekł Crooks. – A gdzie to jest teraz George? W mieście, w burdelu. Tam płyną wasze pieniądze. Chryste, ile ja to już razy widziałem! Widziałem całe tłumy facetów z kawałkiem ziemi w głowie. Nigdy niczego się nie dorobili.

– To jasne, że każdy chce mieć kawałek ziemi, choćby tyci! – zawołał Candy. – Byleby mieć coś własnego. Żeby mogli tam żyć i nie bać się, że ich ktoś wyrzuci. Ja nigdy nie miałem nic takiego. Harowałem, psiakrew, na roli u prawie wszystkich w tym stanie, ale kiedy dochodziło do zbiorów, nie miałem z tego nic. A teraz będziemy mieli, przekonasz się. George nie wziął forsy do miasta. Forsa jest w banku. Moja, Lenniego i George'a. Będziemy na swoim. Będziemy mieć psa, hodować króliki i kury. Będziemy mieć zagon kukurydzy, może krowę albo kozę. – Urwał, oszołomiony tą wizją.

– Mówisz, że macie forsę? – zapytał Crooks.

– Zgadza się. Prawie całą. Brakuje tylko trochę. Zarobimy to przez miesiąc. George ma już upatrzone gospodarstwo.

Crooks sięgnął ręką do tyłu i pomacał grzbiet.

– Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby komuś się powiodło – powiedział. – Spotykałem facetów opętanych na punkcie własnego kawałka ziemi, ale zawsze w końcu przepuścili pieniądze w burdelu albo przerżnęli w oko. – Zawahał się. – Jeśli wy... gdybyście potrzebowali pomocnika, darmo, za samo utrzymanie, to może bym się wam przydał. Nie jestem aż tak połamany, żebym nie mógł zapieprzać jak sukinsyn, jeśli tylko zechcę.

– Nie widział który Curleya, chłopaki?

Wszyscy trzej odwrócili głowy w stronę drzwi. W progu stała żona Curleya. Twarz miała przesadnie umalowaną, wargi rozchylone, oddychała głęboko, jak po wyczerpującym biegu.

– Tu go nie było – powiedział kwaśno Candy.

Wciąż stała w drzwiach, uśmiechając się do nich i pocierając paznokcie jednej dłoni kciukiem i wskazującym

palcem drugiej. Jej wzrok wędrował od twarzy do twarzy.

– Zostawili same łamagi – powiedziała wreszcie. – Myślicie, że nie wiem, dokąd oni wszyscy poszli, razem z Curleyem? Już ja dobrze wiem.

Lennie wpatrywał się w nią jak urzeczony, ale Candy i Crooks, nachmurzeni, starali się unikać jej wzroku.

– Skoro wiesz, to po co nas pytasz, gdzie jest Curley? – powiedział Candy.

Spojrzała na nich rozbawiona.

– To dziwne – powiedziała. – Jak jestem z jakimś facetem sam na sam, wszystko układa się świetnie. Ale jak tylko zejdzie się dwóch, nie chcą ze mną gadać. Czyste wariactwo. – Przestała skubać paznokcie i podparła się pod boki. – Boicie się jeden drugiego, w tym rzecz. Macie wszyscy pietra, że jeden będzie miał haka na drugiego.

– Może lepiej idź do siebie do domu – poradził jej po chwili milczenia Crooks. – My tu nie chcemy kłopotów.

– Przecież nie robię nic złego. Myślicie, że nie lubię sobie z kimś pogadać od czasu do czasu? Zdaje się wam, że to przyjemne siedzieć tak wciąż w chałupie?

Candy oparł kikut na kolanie i potarł go lekko drugą ręką.

– Masz męża – rzekł z wyrzutem. – Nie powinnaś się zadawać z innymi facetami, bo to się źle skończy.

Spojrzała na niego z gniewnym błyskiem w oczach.

– A tak, jasne, mam męża. Wszyscy go znacie. Chłop na schwał, co? Nic, tylko gada o tym, co zrobi

z facetami, których nie lubi, a nie lubi nikogo. Myślisz, że będę siedziała w tej ciasnej chałupie i wysłuchiwała, jak to on walnie gościa lewym prostym, a potem poprawi prawym sierpem? „Raz i dwa – mówi – raz i dwa, i gość leży". – Zamilkła, a po chwili jej gniewny wyraz twarzy ustąpił zaciekawieniu. – Słuchajcie, co się stało z ręką Curleya?

Zapadło kłopotliwe milczenie. Candy zerknął ukradkiem na Lenniego, odchrząknął i rzekł:

– No więc, tego... Curleyowi wkręciło rękę w maszynę, pszepani. I poharatało mu trochę.

Popatrzyła na niego uważnie, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Trele-morele! Co ty mi tu wciskasz głodne kawałki! Curley coś zaczął i nie dał rady dokończyć. Wkręciło w maszynę, dobre sobie! Od czasu jak mu zgruchotali łapsko, nie ma już żadnego „raz i dwa"! Kto go tak załatwił?

– Wkręciło mu rękę w maszynę – powtórzył Candy ponuro.

– No dobrze – powiedziała z pogardą. – W porządku, kryjcie go sobie, jak chcecie. Co mnie to obchodzi. Myślicie, łajzy zatracone, żeście tacy cwani. Co wam się zdaje, że macie przed sobą dziecko, czy jak? Powiem wam tyle, że miałam szansę występować na scenie. I to nie raz. Jeden facet powiedział, że mógłby mnie wziąć do filmu. – Aż się zasapała z oburzenia. – Sobota, wieczór. Każdy coś robi. Każdy! A ja co? Stoję i gadam z jakimiś łazęgami – czarnuchem, głupkiem i parszywym starym capem, i muszę być zadowolona, bo nikogo innego nie ma.

Lennie gapił się na nią z półotwartymi ustami. Crooks przybrał na powrót obronną pozę urażonego

w swej godności Murzyna. Ale w Candy'ego jakby coś wstąpiło. Wstał nagle i kopnął piętą beczułkę z gwoździami.

– Dość tego – powiedział ze złością. – Nie chcemy cię tutaj. Już ci to mówiliśmy. A ja ci jeszcze do tego powiem, że nie masz pojęcia, kto my jesteśmy. Twój kurzy móżdżek nie może pojąć, że my nie jesteśmy zwykłe łazęgi. Powiedzmy, że nas wylejesz. Powiedzmy. Myślisz pewnie, że ruszymy autostradą szukać takiej samej gównianej roboty jak tu. Nie wiesz, że mamy własne ranczo i dom, do którego możemy iść. Nie musimy tu siedzieć. Mamy dom i kury, i drzewa owocowe, i gospodarstwo sto razy ładniejsze niż to. I mamy przyjaciół, ot co! Może kiedyś baliśmy się, że nas wyleją, ale to się skończyło. Mamy swoją ziemię, swoją własną, i zawsze możemy sobie tam pójść.

Żona Curleya parsknęła śmiechem.

– Tere-fere! Znam ja takich jak wy! Jak tylko uciułacie ćwierć dolca, to zaraz zamawiacie dwie lufy żyta i jeszcze wylizujecie kieliszek. Już ja was dobrze znam.

Twarz Candy'ego spurpurowiała, ale zanim ona skończyła swój monolog, zdążył ochłonąć. Teraz on był panem sytuacji.

– Szkoda słów – powiedział łagodnym głosem. – Może lepiej weź kieckę w garść i zabieraj się stąd. Nie mamy z tobą o czym gadać. Sami wiemy, co mamy, i wszystko nam jedno, czy w to wierzysz, czy nie. Więc lepiej się stąd zabieraj, bo Curley może być niezadowolony, że zadajesz się z jakimiś „łazęgami".

Wodziła wzrokiem od jednej twarzy do drugiej, ale wszystkie pozostały nieruchome. Najdłużej przypatrywała się Lenniemu, aż w końcu zakłopotany spuścił oczy.

– Skąd masz te sińce na twarzy?

Popatrzył na nią wzrokiem winowajcy.

– Kto, ja?

– Tak, ty.

Lennie spojrzał na Candy'ego, szukając u niego pomocy, a potem znów spuścił wzrok.

– Ręka mu się wkręciła w maszynę – powiedział.

– Okej. W maszynę – rzekła żona Curleya ze śmiechem. – Później z tobą pogadam. Lubię maszyny.

– Zostaw go w spokoju – wtrącił się Candy. – Nie zawracaj mu głowy. Powiem George'owi, co mówiłaś. George nie pozwoli, żebyś kręciła Lenniemu w głowie.

– Kto to jest George? To ten mały, z którym przyszedłeś?

Lennie uśmiechnął się radośnie.

– To on – powiedział. – To właśnie on. I pozwoli mi doglądać królików.

– Jeśli tak ci na tym zależy, to ja też mogę ci dać parę królików.

Crooks wstał z legowiska i stanął naprzeciwko niej.

– Dość tego – powiedział chłodno. – Nie masz prawa wchodzić do kolorowego. Nie masz w ogóle prawa się tu wałęsać. A teraz wynoś się, i to szybko! Jeśli się nie wyniesiesz, poproszę gospodarza, żeby ci zabronił wchodzić do stodoły.

– Słuchaj no, czarnuchu – powiedziała. – Wiesz, co mogę z tobą zrobić, jak nie zamkniesz gęby?

Crooks popatrzył na nią zrezygnowanym wzrokiem i usiadł na swym legowisku. Cała jego agresja wyparowała nagle.

Podeszła do niego.

– Wiesz, co mogę zrobić?

Crooks kurczył się w oczach. Przestraszony, przywarł do ściany.

– Wiem, pszepani.

– Więc pamiętaj, gdzie twoje miejsce, czarnuchu. Bo mogę kazać cię powiesić na gałęzi, i to migiem, tak że nawet nie byłoby z tego zbyt wiele uciechy.

Crooks usiłował zniknąć. Unicestwić swoją osobowość, swoją jaźń – tak żeby nie budzić żadnych uczuć, ani sympatii, ani nienawiści.

– Tak, pszepani – wymamrotał bezbarwnym głosem.

Stała nad nim przez chwilę, jakby czekając na jego ruch, który pozwoliłby jej zadać kolejny cios, ale on siedział jak skamieniały, z odwróconym wzrokiem, jakby schowany w skorupie. W końcu odwróciła się do dwóch pozostałych.

Stary Candy patrzył na nią tak, jakby rzuciła na niego urok.

– Jeśli to zrobisz – powiedział spokojnie – to my powiemy, że przystawiałaś się do Crooksa.

– To powiedzcie, i niech was szlag trafi! – zawołała. – Nikt was nie będzie słuchał, dobrze o tym wiecie. Nikt wam nie uwierzy.

– To prawda – powiedział Candy z rezygnacją. – Nikt nas nie będzie słuchał.

– Ja chcę, żeby tu był George – powiedział płaczliwie Lennie. – Dlaczego nie ma tu George'a?

Candy podszedł do niego.

– Nic się nie bój – powiedział. – Chłopcy już wrócili, słyszałem ich głosy. George jest już na pewno w baraku. – Po czym zwrócił się do żony Curleya: – Idź lepiej do domu. Jak pójdziesz zaraz, nie powiemy Curleyowi, że tu byłaś.

Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Wcale nie jestem pewna, czy naprawdę coś słyszałeś.

– Lepiej uważaj – powiedział. – Jak nie jesteś pewna, to nie ryzykuj.

– Cieszę się, że trochę poturbowałeś Curleya – zwróciła się do Lenniego. – Sam się o to prosił. Czasami i ja mam ochotę mu dołożyć.

Wymknęła się z izdebki i znikła w mroku stodoły. Kiedy przechodziła obok boksów, rozdzwoniły się łańcuchy, a konie zaczęły parskać i grzebać kopytami.

Crooks zdawał się z wolna wynurzać z pancerza, w którym przed chwilą się schował.

– Naprawdę słyszałeś, że chłopaki wracają? – zapytał.

– Jasne, że słyszałem.

– A ja nie.

– Brama trzasnęła – rzekł Candy. – Jezu, jak ta żona Curleya cicho chodzi. Musi mieć w tym wprawę.

Crooks nie podjął tematu.

– Może lepiej już sobie pójdźcie, chłopcy – powiedział. – I wolałbym, żebyście tu więcej nie przychodzili. Kolorowy musi mieć jakieś prawa, choćby mu się nawet nie podobały.

– Ta suka nie powinna mówić ci takich rzeczy – zauważył Candy.

– To nic takiego – powiedział Crooks ponuro. – Przyszliście, posiedzieliście u mnie i trochę się zapomniałem. Ona miała rację.

Konie w stodole wciąż parskały, dzwoniły łańcuchy. Jakiś głos zawołał:

– Lennie! Hej, Lennie, jesteś w stodole?

– To George! – zawołał Lennie. – Tutaj, George! Jestem tutaj!

George stanął w drzwiach i z dezaprobatą rozejrzał się po izdebce.

– Co ty tu robisz u Crooksa? Nie wolno ci tu przychodzić.

Crooks pokiwał głową.

– Mówiłem im, ale i tak wleźli.

– No to czemuś ich nie wykopał?

– Mnie tam wszystko jedno – wzruszył ramionami Crooks. – Lennie to poczciwy chłop.

– Ej, George! – ocknął się Candy. – Liczyłem i liczyłem, i wyszło mi, że nawet na królikach możemy zarobić trochę forsy.

George nachmurzył się.

– Zdawało mi się, że zakazałem wam o tym rozpowiadać.

Candy był wyraźnie stropiony.

– Nie mówiłem nikomu, tylko Crooksowi.

– Wynoście się stąd – rzekł George. – Chryste, wygląda na to, że nie można was ani na chwilę zostawić samych.

Candy i Lennie wstali i ruszyli w stronę drzwi.

– Ej, Candy! – zawołał Crooks.

– No?

– Pamiętasz, co mówiłem ci o pieleniu i innych drobnych robotach?

– Jasne – rzekł Candy. – Pamiętam.

– No to zapomnij – powiedział Crooks. – Ja tak tylko żartowałem. Wcale bym nie chciał tam pracować.

– W porządku, twoja wola. Dobranoc.

Cała trójka wyszła. Kiedy przechodzili przez stodołę, konie w boksach parskały i pobrzękiwały łańcuchami.

Crooks siedział na swym posłaniu i spoglądał przez chwilę na drzwi. Potem sięgnął po butelkę ze swoim smarowidłem. Podciągnął koszulę na plecach, nalał odrobinę płynu na dłoń i zaczął się z wolna nacierać.

W jednym końcu wielkiej stodoły piętrzyła się wysoka sterta świeżego siana, nad nią zaś wisiały na krążku linowym mechaniczne widły. Siano opadało, niczym stok góry, ku drugiemu końcowi stodoły, gdzie rozpościerało się klepisko, niezapełnione jeszcze nowym pokosem. Po bokach widać było żłoby, a pomiędzy prętami ciemniały głowy koni.

Było niedzielne popołudnie. Zażywające odpoczynku konie skubały resztki siana, grzebały nogami, ogryzały deski żłobów i podzwaniały łańcuchami. Smugi popołudniowego słońca padające przez szpary w ścianach znaczyły siano jasnymi pręgami. Powietrze wypełniało senne brzęczenie much.

Z zewnątrz dobiegało dzwonienie podków o żelazny kołek i towarzyszące grze okrzyki zachęty lub drwiny. Ale w nagrzanej, wypełnionej brzęczeniem owadów stodole panowała atmosfera spokoju i rozleniwienia.

Lennie siedział samotnie na sianie obok skrzynki stojącej pod żłobem, w tym końcu stodoły, gdzie było jeszcze pusto. Siedział i patrzył na leżącego przed nim małego, martwego szczeniaka. Najpierw długo mu się przyglądał, potem pogłaskał pieska, przesuwając wielką dłonią od głowy do ogona.

– Dlaczego musiałeś mi zdechnąć? – powiedział cicho do szczeniaka. – Nie jesteś taki mały jak mysz.

Nie klepnąłem cię przecież mocno. – Podniósł główkę psa i dodał, patrząc na jego mordkę: – Teraz, jak George się dowie, że cię zabiłem, nie pozwoli mi pewnie doglądać królików.

Wygrzebał płytki dołek, położył tam szczeniaka i przykrył sianem, żeby go nie widzieć, ale nie przestawał się wpatrywać w mały kopczyk.

– To nie jest jeszcze taka zła rzecz, żebym musiał się chować w krzakach. Och, nie! To jeszcze nic takiego. Powiem George'owi, że znalazłem go nieżywego.

Odgrzebał szczeniaka, obejrzał go uważnie ze wszystkich stron, głaszcząc od łebka do ogona.

– Ale George będzie wiedział – ciągnął ze smutkiem. – George zawsze wie. Powie: „Ty to zrobiłeś, i nie próbuj mnie bajerować". A potem powie jeszcze: „I za to nie będzie ci wolno doglądać królików".

Nagle wezbrał w nim gniew.

– Niech cię cholera! – zawołał. – Dlaczego musiałeś zdechnąć? Nie jesteś taki mały jak mysz.

Złapał szczeniaka i odrzucił go od siebie, po czym odwrócił się do niego plecami i usiadł ze zwieszoną głową.

– Teraz nie będę mógł doglądać królików – szepnął. – Teraz mi nie pozwoli. – Kołysał się w przód i w tył, pogrążony w bezdennej rozpaczy.

Z podwórza dochodził brzęk podków o żelazny kołek i stłumiony chór okrzyków. Lennie podniósł się, wziął szczeniaka, położył go na sianie i usiadł z powrotem. Znów zaczął go głaskać.

– Byłeś za mały – powiedział. – W kółko mi to mówili. Nie wiedziałem, że tak łatwo cię zabić. – Podrapał szczeniaka za uchem. – Może George w ogóle

nic nie powie – szepnął. – Co taki mały cholerny sukinsyn znaczy dla George'a? Nic.

W głębi stodoły, przy ostatnim boksie, pojawiła się żona Curleya. Podeszła bardzo cicho, tak że Lennie nie zauważył jej do ostatniej chwili. Miała na sobie jasną bawełnianą sukienkę i pantofle na niskim obcasie ozdobione puszkami ze strusich piór. Twarz miała umalowaną, a kiełbaskowate loki starannie ułożone. Podniósł oczy dopiero wtedy, gdy stanęła tuż za nim.

Ogarnięty paniką zaczął zasypywać szczeniaka sianem. Potem spojrzał na nią ponuro.

– Co tam masz, chłoptasiu?

Lennie zerknął na nią spode łba.

– George mówił, żeby się trzymać od ciebie z daleka, nie rozmawiać z tobą ani nic.

Roześmiała się.

– George rozkazuje ci we wszystkim?

Utkwił wzrok w sianie.

– Mówił, że nie pozwoli mi doglądać królików, jak będę z tobą rozmawiać albo coś.

– Boi się, że Curley się wścieknie – powiedziała spokojnie. – Ale Curley ma teraz rękę na temblaku, a jak zacznie się stawiać, możesz mu zgruchotać drugą. To była lipa z tym wypadkiem przy maszynie, co?

Ale Lennie nie dawał się wciągnąć do rozmowy.

– Nie, pszepani, nie będę z panią rozmawiał ani nic.

Uklękła na sianie obok niego.

– Słuchaj – powiedziała – wszyscy faceci są zajęci tymi swoimi zawodami. Jest dopiero czwarta. Żaden nie oderwie się od gry. Pogadałabym trochę

z tobą, co? Nie mam do kogo otworzyć ust. Jestem taka okropnie samotna.

– Ale mnie nie wolno z tobą rozmawiać ani nic.

– Jestem taka samotna – powtórzyła. – Ty możesz sobie zawsze pogadać z ludźmi, a ja nie rozmawiam z nikim, tylko z Curleyem. Bo inaczej on się wścieka. Jak byś się czuł, gdybyś nie miał z kim pogadać?

– Ale mnie nie wolno – nadal upierał się Lennie. – George się boi, że coś zmaluję.

Zmieniła temat.

– Co tam chowasz w sianie?

Nagle całe brzemię nieszczęścia zwaliło się od nowa na barki Lenniego.

– To tylko mój szczeniak – powiedział ze smutkiem. – Mój mały szczeniak. – Odgarnął siano z wierzchu, żeby go odsłonić.

– Ojejku, on nie żyje! – zawołała.

– Jest taki mały – powiedział Lennie. – Ja się tylko z nim bawiłem... i on zrobił tak, jakby chciał mnie ugryźć... i ja... ja... dałem mu klapsa. No i od razu zdechł.

– Nie przejmuj się tak – pocieszała go. – To tylko kundel. Znajdziesz sobie innego. Pełno wszędzie kundli.

– Nie o to się rozchodzi – tłumaczył żałosnym głosem. – Teraz George nie pozwoli mi doglądać królików.

– A to dlaczego?

– No bo powiedział, że jak znowu coś nabroję, to nie będę mógł doglądać królików.

Przysunęła się do niego i zaczęła przemawiać kojącym głosem:

– Nie bój się rozmawiać ze mną. Posłuchaj, jak

oni tam wrzeszczą. Grają o cztery dolary. Żaden nie odejdzie od gry, dopóki nie skończą.

– Jak George mnie przyłapie, że z tobą rozmawiam, to zrobi mi piekło – powiedział ostrożnie Lennie. – Tak powiedział.

Ogarnęła ją nagle złość.

– A niby co to ja jestem?! – zawołała. – Nie mam już prawa do nikogo się odezwać? Za kogo wy mnie macie?! Jesteś miły facet. Nie wiem, dlaczego nie miałabym z tobą pogadać. Nie zrobię ci nic złego.

– Ale George mówi, że możesz nas wpakować w kłopoty.

– Bzdury! Co ja ci takiego mogę zrobić? Nikogo tu nie obchodzi, co się ze mną dzieje. Nie przywykłam do takiego życia. Mogłam być kimś – powiedziała zagadkowo. – Może jeszcze do czegoś dojdę. – Słowa popłynęły teraz namiętnym potokiem, jakby chciała wyrzucić z siebie wszystko, zanim straci słuchacza. – Mieszkałam w Salinas – mówiła. – Od dziecka. Kiedyś przyjechał tam objazdowy teatr i poznałam jednego aktora, i on powiedział, że mogłabym jechać z nimi. Ale moja stara mnie nie puściła. Szło niby o to, że mam dopiero piętnaście lat. Ale ten facet uważał, że mogłabym z nimi jechać. I jakbym wtedy pojechała, to żyłabym teraz na pewno inaczej.

Lennie nie przestawał głaskać szczeniaka.

– Będziemy mieli małe gospodarstwo. I króliki – wyjaśnił.

Ale ona kontynuowała swą opowieść, pospiesznie, żeby nie mógł jej przerwać.

– Kiedy indziej poznałam faceta, który robił w filmie. Poszłam z nim na tańce w Riverside Palace.

Powiedział, że załatwi mi rolę. Mówił, że jestem urodzoną aktorką. Miał do mnie napisać, jak tylko wróci do Hollywood. – Spojrzała bacznie na Lenniego, jak gdyby chciała sprawdzić, czy jej słowa robią na nim wrażenie. – Nigdy nie dostałam tego listu – powiedziała. – Do dziś myślę, że moja stara go ukradła. W każdym razie nie miałam zamiaru tkwić w dziurze, gdzie człowiek nie ma żadnej przyszłości i jeszcze do tego kradną mu listy. Zapytałam ją oczywiście, czy mi go ukradła, ale powiedziała, że nie. Więc chajtnęłam się z Curleyem. Poznałam go w Riverside Palace tego samego wieczoru. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytała surowo.

– Ja? Pewnie.

– Nigdy nikomu tego nie mówiłam. Może nie powinnam. Nie lubię Curleya. To nie jest miły facet. – Przeszła teraz do zwierzeń, więc przysunęła się bliżej i usiadła tuż obok Lenniego. – Mogłam być w filmie i nosić te różne szykowne kiecki, tak jak one wszystkie. I mogłam mieszkać w wielkich hotelach, i robiliby mi zdjęcia. I jeździłabym na premiery, mówiłabym przez radio i nie kosztowałoby mnie to ani centa, bo byłabym aktorką. I miałabym te wszystkie fajne kiecki. Bo ten facet powiedział, że jestem urodzona aktorka. – Spojrzała na Lenniego i wykonała drobny, pełen dostojeństwa gest ręką, żeby mu udowodnić, że potrafi grać. Dłoń zafalowała z gracją w powietrzu, mały palec sterczał, wytwornie odchylony od pozostałych.

Lennie westchnął głęboko. Z podwórka dobiegł brzęk podkowy i chóralny okrzyk entuzjazmu.

– Któryś trafił – powiedziała żona Curleya.

Plamy światła wędrowały w górę, w miarę jak słońce obniżało się na niebie, a jasne smugi oświetlały teraz drabinki z sianem i końskie łby.

– Może jak wezmę tego szczeniaka i go wyrzucę, to George się nie dowie... – powiedział Lennie. – I wtedy jak nic mógłbym doglądać królików.

– Czy ty wciąż myślisz tylko o królikach? – zapytała ze złością.

– Będziemy mieli małe gospodarstwo – tłumaczył jej cierpliwie Lennie. – Będziemy mieli dom i ogród, i zagon koniczyny, a ta koniczyna będzie dla królików, i ja będę brał worek, i napcham go koniczyną, i zaniosę królikom.

– Skąd ten twój fioł na punkcie królików?

Lennie musiał się dobrze zastanowić, zanim odpowiedział. Ostrożnie przysunął się do niej, aż niemal jej dotknął.

– Lubię głaskać różne miłe rzeczy. Kiedyś na targu widziałem takie puszyste króliki. Mówię ci, jakie one były miluśkie! Czasem głaszczę nawet myszy, ale tylko wtedy, jak nie mam nic lepszego.

Żona Curleya odsunęła się trochę od niego.

– Ty chyba jesteś stuknięty? – powiedziała.

– Nie, nie jestem – zapewnił ją Lennie z powagą. – George mówi, że nie jestem. Lubię tylko gładzić palcami różne miłe rzeczy, takie mięciutkie.

Uspokoiła się nieco.

– A kto nie lubi? – powiedziała. – Wszyscy to lubią. Ja na przykład lubię dotykać jedwabiu i aksamitu. Lubisz dotykać aksamitu?

Lennie zachichotał radośnie.

– O rany, jeszcze jak! – zawołał z entuzjazmem.

– Nawet miałem kiedyś kawałek. Dała mi go jedna pani, a ta pani to była moja ciotka Klara. Dała mi, o, taki duży kawałek. Szkoda, że go już nie mam – powiedział z zafrasowaną miną. – Pewnie go zgubiłem. Nie widziałem go już kupę czasu.

– Jesteś szurnięty – zaśmiała się. – Ale poczciwy z ciebie chłopak. Całkiem jak duże dziecko. Choć można się domyślić, o co ci idzie. Kiedy się czeszę, lubię czasem pogłaskać swoje włosy, bo są takie miękkie. – Żeby mu pokazać, jak to robi, przeciągnęła palcami po włosach. – Niektórzy mają kudły sztywne jak druty, na przykład Curley. Moje włosy są miękkie i delikatne – powiedziała, zadowolona z siebie. – Naturalnie wciąż je szczotkuję. To dlatego są takie miękkie. Weź, dotknij ich. – Ujęła go za rękę i położyła sobie jego dłoń na głowie. – Pogłaszcz, zobacz, jakie są delikatne.

Wielkie paluchy Lenniego zaczęły gładzić jej włosy.

– Tylko mnie nie potargaj – powiedziała.

– O, jakie miłe! – westchnął z zachwytem i pogłaskał ją mocniej. – Jakie miluśkie!

– No, uważaj, bo mnie potargasz! – krzyknęła zirytowana. – Przestań, bo mi całkiem zburzysz fryzurę! – Wykręciła głowę na bok, ale palce Lenniego wczepiły się mocno w jej włosy.

– Puszczaj! – zawołała. – No, puśćże!

Lenniego ogarnęła panika. Grymas strachu wykrzywił mu twarz. Krzyczała, więc zakrył jej drugą ręką usta i nos.

– Proszę, nie! – błagał. – Och, nie rób tego! George będzie wściekły!

Szarpała się rozpaczliwie w jego uścisku. Nogi młóciły siano, wiła się konwulsyjnie, usiłując się

wyswobodzić. Spod dłoni Lenniego wydobył się zduszony krzyk.

– Och, proszę cię, przestań! – zawołał przerażony. – George znów powie, że zrobiłem coś złego. I nie pozwoli mi doglądać królików. – Odsunął nieco dłoń; wydobył się spod niej chrapliwy krzyk. Lenniego ogarnął nagle gniew. – Przestań! – zawołał. – Nie chcę, żebyś wrzeszczała. Wpakujesz mnie w jakieś kłopoty, tak jak mówił George. No, przestań! – Ona jednak szarpała się dalej, ze wzrokiem oszalałym z przerażenia. Potrząsnął nią wściekle. – Przestań wrzeszczeć! – zawołał i potrząsnął nią znowu. Zatrzepotała się jak ryba w sieci i znieruchomiała. Lennie skręcił jej kark.

Spojrzał na nią i ostrożnie zdjął rękę z jej ust. Leżała bez ruchu.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy – powiedział – ale George by się wściekł, jakbyś tak dalej wrzeszczała. – Nie odpowiadała ani nie ruszała się, więc pochylił się nad nią. Podniósł jej ramię i puścił – opadło bezwładnie. Przez chwilę patrzył na nią oszołomiony, a potem szepnął zdjęty strachem: – Zrobiłem coś złego. Znów zrobiłem coś złego.

Zgrabił palcami trochę siana i częściowo ją przykrył.

Na podwórku rozległy się okrzyki mężczyzn; podkowa zadzwoniła dwukrotnie o metalowy kołek. Dopiero teraz Lennie uświadomił sobie istnienie świata zewnętrznego. Przykucnął na sianie i zaczął nasłuchiwać.

– Zrobiłem coś naprawdę złego – powiedział. – Nie wolno mi było tego robić. George się wścieknie. I schować się w krzakach, mówił, aż przyjdzie. Będzie wściekły. W krzakach, aż przyjdzie. Tak mówił.

Podszedł do martwej dziewczyny i przyjrzał się jej. Szczeniak leżał tuż obok niej. Lennie podniósł go z ziemi.

– Wyrzucę go – powiedział. – Już i tak nabroiłem.

Schował psiaka pod kurtkę, zbliżył się po cichutku do ściany i spojrzał przez szparę na grających w podkowy. Potem przeszedł chyłkiem na drugi koniec stodoły i zniknął za ostatnim żłobem.

Słoneczne smugi na ścianach zawędrowały wysoko, światło w stodole było teraz rozproszone i łagodne. Żona Curleya leżała na plecach, na wpół przykryta sianem.

W stodole było cicho, popołudniowa cisza panowała też wśród zabudowań rancza. Zdawało się, że przycichły nawet głosy grających i brzęk rzucanych podków. Tu, w stodole, zmierzchało szybciej niż na zewnątrz, gdzie dzień zaczynał dopiero gasnąć. Gołąb wleciał przez otwarte drzwi, zatoczył krąg i wyleciał z powrotem. Zza ostatniego boksu wyszła suka, długa i wychudzona, z ciężkimi, obwisłymi sutkami. W pół drogi do skrzynki ze swoim potomstwem zwietrzyła woń martwej żony Curleya i sierść zjeżyła się jej na grzbiecie. Zaskowyczała, przemknęła skulona do skrzyni i skoczyła pomiędzy szczenięta.

Żona Curleya leżała przykryta do połowy żółtawym sianem. Piętno pospolitości, zawiedzionych ambicji, rozgoryczenia i przemożnego pragnienia, by przyciągnąć uwagę, zniknęło z jej twarzy. Była teraz uosobieniem wdzięku i prostoty, twarz miała młodą i pełną słodyczy. Urożowane policzki i jaskrawo uszminkowane wargi nadawały jej teraz pozór życia; wyglądała jak pogrążona w niezbyt głębokim

śnie. Kiełbaskowate loki rozrzucone były promieniście na sianie, wargi miała rozchylone.

Jak się to nieraz zdarza, czas zastygł w bezruchu, zawahał się lekko, zdawało się, że chwila trwa dłużej, niż powinna. Zamarł wszelki dźwięk i ruch i trwało to znacznie dłużej niż przez tę jedną chwilę.

Potem stopniowo czas ocknął się i ospale ruszył naprzód. Konie przy żłobach zaczęły grzebać kopytami, zadźwięczały łańcuchy. Głosy na zewnątrz znów rozbrzmiewały donośniej i wyraźniej.

Zza ostatniego boksu dobiegł głos Candy'ego:

– Lennie! – wołał. – Jesteś tutaj, Lennie? Obliczyłem jeszcze coś. Powiem ci, co jeszcze możemy zrobić. – Candy wynurzył się zza ostatniej przegrody. – Hej, Lennie! – zawołał jeszcze raz i nagle stanął jak wryty. Potarł gładkim kikutem siwy zarost na policzkach. – Nie wiedziałem, że tu jesteś – powiedział do żony Curleya.

Nie odpowiadała, więc podszedł bliżej.

– Nie powinnaś tu spać – powiedział z przyganą w głosie. Przystanął tuż obok niej. – Jezu Chryste! – Candy rozejrzał się dookoła bezradnie, nie przestając pocierać podbródka. Potem wzdrygnął się i wybiegł ze stodoły.

W szopie zawrzało życie. Konie parskały, grzebały kopytami, wyskubywały słomę z podściółki i szarpały łańcuchami. Candy wrócił niemal natychmiast; za nim szedł George.

– Co mi chciałeś pokazać? – zapytał.

Candy wskazał na żonę Curleya.

– Co z nią? – zapytał George, wlepiając oczy w dziewczynę. – Jezu Chryste! – powtórzył jak echo słowa Candy'ego sprzed paru minut. – Osunął się

na kolana i przyłożył jej rękę do serca. Gdy wreszcie wstał, powoli i sztywno, spojrzenie miał twarde, twarz stężałą, jak wyciosaną z drewna.

– Kto to mógł zrobić? – zapytał Candy.

George spojrzał nań zimnym wzrokiem.

– Nie domyślasz się?

Candy nie odpowiedział.

– Mogłem się spodziewać – rzekł George z rezygnacją. – Czułem przez skórę, że to się stanie.

– I co my teraz zrobimy, George? – zapytał Candy. – Co teraz zrobimy?

George milczał przez chwilę.

– Myślę – rzekł wreszcie – że trzeba powiedzieć... chłopakom. Trzeba go złapać i zamknąć. Nie można pozwolić mu uciec. Przecież ten biedny sukinsyn umrze z głodu. – Mówił tak, jakby chciał przekonać samego siebie. – Może go zamkną i będzie mu tam dobrze.

Ale Candy zaprotestował gwałtownie.

– Musimy pozwolić mu uciec. Ty nie znasz Curleya. Curley go jeszcze zlinczuje. Curley go zatłucze na śmierć.

George słuchał, wpatrując się w jego wargi.

– Tak – powiedział w końcu. – Masz rację, on go zabije. I ci inni też. – Popatrzył znów na żonę Curleya.

– My dwaj możemy chyba kupić to gospodarstwo, no nie, George? – Candy zdradził się teraz ze swą największą obawą. – Możemy tam zamieszkać i żyć sobie spokojnie, nie? No, powiedz?

Zanim George zdążył odpowiedzieć, Candy opuścił wzrok. Znał odpowiedź.

– Wiedziałem od początku – powiedział cicho George. – Wiedziałem od samego początku. Wiedziałem, że nic

z tego nie będzie. Ale on tak bardzo lubił o tym słuchać, że zacząłem sam wierzyć...

– Czyli że wszystko przepadło? – zapytał ponuro Candy.

George nie odpowiedział.

– Przepracuję miesiąc – rzekł wreszcie – wezmę swoje pięćdziesiąt dolców i przepuszczę je w jakimś parszywym burdelu. Albo wyląduję w jakiejś spelunie i nie ruszę się stamtąd, aż wszyscy pójdą do domu. A potem wrócę i znów przepracuję miesiąc, i znów dostanę swoją dolę.

– To taki miły facet – rzekł Candy. – Nigdy bym nie pomyślał, że zrobi coś takiego.

George wpatrywał się w żonę Curleya.

– Lennie nigdy nie zrobiłby tego z czystej podłości – powiedział. – Ciągle coś wykręcał, ale nigdy przez podłość. – Wyprostował się i spojrzał na Candy'ego. – A teraz słuchaj. Musimy powiedzieć chłopakom. Złapią go pewnie i odstawią na policję. Nie mają innego wyjścia. Może nie zrobią mu krzywdy. Zresztą nie pozwolę skrzywdzić Lenniego – rzekł gniewnie. – Słuchaj, Candy, oni mogą pomyśleć, że maczałem w tym palce. Idę teraz do baraku. Za jakąś minutę wybiegniesz stąd i powiesz o niej chłopakom, a wtedy ja przyjdę tu razem z nimi, tak jakbym jej wcześniej nie widział. Zrobisz to? Żeby nie pomyśleli, że mam z tym coś wspólnego.

– Jasne, George – zapewnił go Candy. – Jasne, że zrobię.

– Dobra. Odczekaj chwilę, a potem wybiegnij i powiedz im, żeś ją dopiero co znalazł. Ja idę.

Odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem ze stodoły.

Stary Candy odprowadził go wzrokiem. Spojrzał bezradnie na żonę Curleya i nagle cała nagromadzona rozpacz i gniew znalazły ujście w potoku słów.

– Ty cholerna wywłoko – powiedział z nienawiścią. – Dopięłaś swego, co? Pewnieś bardzo zadowolona. Wszyscy wiedzieli, że wyszykujesz coś paskudnego. Byłaś nic niewarta. I taka już zostałaś, ty parszywa dziwko. – Wstrząsnął nim nagły szloch, głos mu się załamał. – Mogłem plewić w ogrodzie i zmywać im garnki. – Przerwał, by po chwili podjąć swój monolog śpiewnym, zawodzącym głosem: – A jakby przyjechał cyrk albo byłby mecz – powtarzał jak wyuczoną lekcję – poszlibyśmy sobie po prostu... powiedzielibyśmy: „Do diabła z robotą", i jazda. Nikogo byśmy nie pytali o zgodę. I byłyby świnie, i kury... a zimą... mały pękaty piec... a jakby padało... tobyśmy sobie siedzieli w chałupie. – Na pół ślepy od wzbierających łez odwrócił się i wyszedł ze stodoły, powłócząc nogami i pocierając kikutem zarośnięte policzki.

Wrzawa na podwórzu ucichła nagle. Potem wybuchnął gwar pytających głosów, zatupotały nogi i mężczyźni – Slim, Carlson, młody Whit, Curley i trzymający się z dala Crooks – wpadli do stodoły. Za nimi wbiegł Candy i na samym końcu George. George miał na sobie zapinaną na guziki niebieską drelichową bluzę, czarny kapelusz nasunął głęboko na oczy. Mężczyźni okrążyli ostatni boks. Kiedy ich wzrok napotkał leżącą w półmroku żonę Curleya, zatrzymali się i patrzyli na nią przez chwilę w milczeniu.

Potem Slim podszedł do niej, nachylił się i ujął ją za przegub. Dotknął szczupłym palcem jej policzka, po czym jego ręka wsunęła się pod lekko

przekrzywioną głowę i zaczęła obmacywać kark. Kiedy wstał, mężczyźni skupili się wokół niego, bariera nabrzmiałej grozą ciszy została przełamana.

Curley ożywił się nagle.

– Wiem, kto to zrobił! – zawołał. – To sprawka tego wielkiego skurwysyna. Wiem, że to jego robota. Przecież cała reszta grała na podwórzu w podkowy. – Curley zdawał się podsycać narastającą w nim furię. – Dopadnę go. Idę po moją strzelbę. Sam zabiję tego wielkiego skurwysyna. Wygarnę mu prosto w bebechy. Chodźcie, chłopaki. – Rozjuszony wybiegł ze stodoły.

– Wezmę swojego lugera – powiedział Carlson i wybiegł za nim.

– Też mi się tak zdaje, że to zrobił Lennie – powiedział spokojnie Slim, zwracając się do George'a. – Ona ma skręcony kark. Tylko Lennie mógł to zrobić.

George nie odpowiedział, skinął tylko z wolna głową. Nie było mu widać oczu spod ronda kapelusza.

– Może było tak jak wtedy w Weed, co to kiedyś opowiadałeś...

George znów skinął głową.

– Nie ma rady – westchnął Slim. – Trzeba go będzie złapać. Jak myślisz, dokąd mógł pójść?

George nie odpowiedział od razu, jakby mówienie przychodziło mu z największym trudem.

– Pewnie na południe. Przyszliśmy z północy, więc mógł pójść na południe.

– Trzeba go będzie złapać – powtórzył Slim.

George zbliżył się do niego.

– Nie można by tego załatwić tak, żeby go zamknęli? To czubek, Slim. Nie zrobił tego przez podłość.

Slim pokiwał głową.

– Można by spróbować – powiedział. – Gdyby udało się zatrzymać tu Curleya. Ale Curley chce go zastrzelić. Jest jeszcze wściekły za tę rękę. A zresztą co z tego, że go zamkną, związą i wsadzą do klatki jak zwierzę? To na nic, George.

– Wiem – odpowiedział George. – Ja wiem.

Do stodoły wbiegł Carlson.

– Ten skurwysyn ukradł mojego lugera! – zawołał. – Nie ma go w moim tobołku.

W chwilę potem wpadł Curley ze strzelbą w zdrowej ręce. Zdążył się nieco opanować.

– W porządku, chłopcy – powiedział. – Wziąłem od Murzyna strzelbę. Bierz ją, Carlson. Jak go zobaczysz, nie daj mu szansy. Wal prosto w bebech, aż się zwinie.

– A ja nie mam broni – powiedział podnieconym głosem Whit.

– Ty leć do Soledad po gliny. Sprowadź Ala Wiltsa, to zastępca szeryfa. No, chodźmy. – Curley spojrzał podejrzliwie na George'a. – Idziesz z nami, bratku.

– Tak – powiedział George. – Idę z wami. Ale posłuchaj, Curley. Ten biedny sukinsyn to czubek. Nie strzelaj do niego. On nie wiedział, co robi.

– Nie strzelać?! – zawołał Curley. – On ma lugera Carlsona. To jasne, że go zastrzelimy.

– Może Carlson zgubił pistolet – powiedział bez przekonania George.

– Miałem go jeszcze rano – powiedział Carlson. – Na pewno go wziął.

Slim stał i patrzył na żonę Curleya.

– Słuchaj, Curley – powiedział. – Może lepiej zostań tu przy żonie?

Curley poczerwieniał.

– Nie, idę – powiedział. – Sam wypruję z niego flaki, choć mam tylko jedną dobrą rękę. Dopadnę go.

– W takim razie zostań ty – zwrócił się Slim do Candy'ego. – A my lepiej już chodźmy.

Ruszyli ku wyjściu. Mijając Candy'ego, George zatrzymał się i obaj patrzyli przez chwilę na martwą kobietę.

– Ej, ty, George! – zawołał Curley. – Lepiej trzymaj się z nami, bo jeszcze pomyślimy, że maczałeś w tym palce!

Powłócząc nogami, George ruszył z ociąganiem za nimi.

Po ich odejściu Candy przykucnął w sianie i długo przyglądał się twarzy żony Curleya.

– Biedny sukinsyn – powiedział wreszcie cicho.

Ucichł odgłos kroków i gwar. W stodole zapadł mrok, konie w boksach grzebały kopytami i podzwaniały łańcuchami. Stary Candy położył się na sianie i zakrył oczy ręką.

Późnym popołudniem nad głęboką zieloną zatoczką, utworzoną w zakolu rzeki Salinas, panowała cisza. Słońce opuściło już dolinę i teraz wędrowało w górę, zalewając różowym blaskiem szczyty gór Gabilan. Na wody zatoki przezierające pomiędzy cętkowanymi pniami sykomor spłynął przyjemny cień.

Wąż wodny prześliznął się po powierzchni, kręcąc na wszystkie strony podobną do peryskopu głową. Przepłynął całą szerokość zatoczki i znalazł się tuż pod nogami czapli stojącej bez ruchu na płyciźnie. Wystarczył jeden bezszelestny sztych i pochwycony u nasady głowy gad zniknął w dziobie ptaka, wijąc się rozpaczliwie.

Wiatr nadciągnął z szumem, zafalowały wierzchołki drzew. Zasrebrzyło się listowie na gałęziach sykomor, podmuch zakręcił suchymi zbrązowiałymi liśćmi, zaścielającymi ziemię. Po zielonkawej powierzchni zatoczki przebiegła niczym dreszcz seria drobnych zmarszczek.

Wiatr ucichł tak samo raptownie, jak się pojawił, i znów cisza zapadła na otwartej przestrzeni nadrzecza. Czapla wciąż stała nieruchomo na płyciźnie, w wyczekującej pozie. Jeszcze jeden, tym razem mniejszy wąż przepłynął przez zatoczkę, kręcąc uniesioną głową.

Nagle z zarośli wychynął Lennie, przyczajony jak skradający się niedźwiedź. Czapla oderwała się z głośnym łopotem skrzydeł od tafli wody i poszybowała wzdłuż rzeki. Wąż skrył się w przybrzeżnych trzcinach.

Lennie zbliżył się po cichu do brzegu, uklęknął i zaczął pić, ledwie muskając wodę ustami. Gdy jakiś ptaszek zaszeleścił wśród suchych liści sykomor, podniósł raptownie głowę i nasłuchiwał przez chwilę, wytężając jednocześnie wzrok. W końcu dostrzegł ptaka i uspokojony znów pochylił się nad wodą.

Ugasiwszy pragnienie, usiadł na brzegu, bokiem do rzeki, tak by mieć na oku wylot ścieżki, którą przed chwilą nadszedł. Objął rękami podciągnięte kolana i wsparł na nich podbródek.

Światło opuściło dolinę i posuwając się ku szczytom, zdawało się oblewać zbocza gór coraz jaśniejszym blaskiem.

– Nie zapomniałem, niech mnie licho, jeśli zapomniałem... – powiedział cicho Lennie. – Schować się w krzakach i czekać na George'a. – Zsunął kapelusz

na oczy. – George będzie się wściekał jak nie wiem co. George znów powie, że wolałby być sam i nie ciągać mnie za sobą. – Odwrócił głowę i spojrzał na jaśniejące szczyty gór. – Mogę tam zaraz pójść i znaleźć sobie jakąś jamę. I już nigdy nie dostać keczupu – ciągnął smętnie. – Ale co tam... Jak George mnie nie chce, to sobie pójdę... Pójdę i już.

Nagle przed oczyma wyobraźni pojawiła mu się mała tęga staruszka w okularach z bardzo grubymi szkłami. Przepasana była wielkim pasiastym fartuchem z kieszeniami, wykrochmalonym i czystym. Stała przed Lenniem, ująwszy się pod boki, i mierzyła go surowym spojrzeniem.

– Mówiłam ci przecież, powtarzałam w kółko – odezwała się nieoczekiwanie głosem Lenniego. – Mówiłam ci, słuchaj George'a, bo to poczciwy chłop i jest dla ciebie dobry. Ale ty go w ogóle nie słuchasz. Zawsze musisz coś nabroić.

– Starałem się, ciociu Klaro – odpowiedział Lennie. – Starałem się, proszę pani, jak nie wiem co. I nic nie mogłem poradzić.

– George cię w ogóle nie obchodzi – ciągnęła kobieta głosem Lenniego. – A on był dla ciebie taki dobry. Jak miał kawałek placka, to zawsze dawał ci połowę, albo i więcej. A jakby miał keczup, oddałby ci co do kropelki.

– Ja wiem – odparł Lennie żałośnie. – Ja się starałem, ciociu Klaro, starałem się jak nie wiem co...

– A mógłby sobie tak przyjemnie żyć, gdyby nie ty – przerwała mu. – Mógłby przepuścić całą dniówkę w burdelu albo iść do knajpy i pograć sobie w bilard. Ale on musi się zajmować tobą.

– Ja wiem, pani ciociu Klaro – powiedział Lennie płaczliwie. – Pójdę zaraz w góry, znajdę jakąś jamę i będę sobie tam żył, żeby mu już więcej nie wadzić.

– Gadanie! – odpowiedziała ostro. – Zawsze tak mówisz, a dobrze wiesz, cholera jasna, że tego nie zrobisz. Przykleisz się do George'a i potem znów Bóg wie jak narozrabiasz.

– To może ja lepiej od razu sobie pójdę. Teraz George nie pozwoli mi już doglądać królików.

Ciotka Klara zniknęła, a z wyobraźni Lenniego wynurzył się olbrzymi królik. Stanął słupka, zastrzygł uszami i zaczął poruszać nosem. Także on przemawiał głosem Lenniego.

– Doglądać królików – parsknął pogardliwie. – Ty pieprzony czubie, nie nadajesz się nawet do podcierania im tyłków. Zapomniałbyś o nich i zdechłyby z głodu. Tak by było. I co by na to powiedział George, hę?

– Nie zapomniałbym – powiedział głośno Lennie.

– Gadaj zdrów. Nie jesteś wart kopa w zadek, żebyś poleciał do piekła. Bóg świadkiem, że George robił, co mógł, żeby cię wyciągać z bagna, ale wszystko na nic. Jeśli myślisz, że teraz pozwoli ci doglądać królików, to jesteś większy dureń, niż myślałem. Nie pozwoli ci i już. Wygrzmoci cię najwyżej kijem po grzbiecie, ot co!

– A wcale że nie! – zaperzył się Lennie. – George nie zrobi nic takiego. Znam go od... nawet nie wiem jak długo, i nigdy nie wziął na mnie kija. Jest dla mnie dobry. Nie zrobi mi krzywdy.

– Ma już ciebie powyżej uszu – upierał się królik. – Złoi ci skórę i pójdzie sobie, a ty zostaniesz sam!

– A właśnie że nie! – zawołał z rozpaczą Lennie.

– Nie zrobi nic takiego! Ja znam George'a. Chodzimy razem za pracą.

Ale królik powtarzał w kółko łagodnym głosem:

– Zostawi cię, ty pieprzony czubie. Zostawi cię samego.

Lennie zakrył uszy dłońmi.

– Nie, nie! Mówię ci, że nie zostawi. George! George! – zawołał.

George wyszedł bezszelestnie z zarośli i królik czmychnął z powrotem do głowy Lenniego.

– Czego się drzesz, do diabła? – zapytał cicho George.

Lennie uklęknął.

– Nie zostawisz mnie, George, prawda? Ja wiem, że tego nie zrobisz...

George podszedł zmęczonym krokiem i usiadł obok niego.

– Nie zostawię.

– Wiedziałem! – zawołał Lennie. – Ty nie jesteś taki.

George milczał.

– George?

– Czego?

– Znowu zrobiłem coś złego.

– To już nieważne – odparł George i znów pogrążył się w milczeniu.

Już tylko granie gór lśniły w słońcu. Cień zalegający dolinę był łagodny i błękitny. Z oddali docierały nawoływania mężczyzn. George odwrócił głowę i zaczął nasłuchiwać.

– George... – odezwał się Lennie.

– Czego?

– Nie będziesz na mnie wściekły?

– Wściekły?

– No tak. Tak jak zawsze. Kiedy mówiłeś: „Żebym nie miał ciebie, wziąłbym te swoje pięćdziesiąt dolców i...".

– Chryste Panie, Lennie! Wszystko zapominasz, ale pamiętasz każde moje słowo.

– A nie mówiłeś tak?

George wzdrygnął się i powiedział matowym głosem:

– Gdybym był sam, życie byłoby takie proste. – Mówił monotonnie, beznamiętnie. – Miałbym robotę i żadnych kłopotów...

– Mów dalej – zachęcał go Lennie. – A pod koniec miesiąca...

– A pod koniec miesiąca mógłbym wziąć swoje pięć dych... i zabawić się w burdelu.

Znów przerwał. Lennie spojrzał nań błagalnie.

– Mów dalej, George. Nie będziesz się już na mnie wściekał?

– Nie – odparł George.

– Ja mogę sobie iść – powiedział Lennie. – Mogę sobie zaraz pójść w góry i znaleźć sobie jakąś jamę, jak mnie nie chcesz.

George wzdrygnął się znowu.

– Nie – powiedział. – Chcę, żebyś tu ze mną został.

– Poopowiadaj mi tak jak zawsze – rzekł Lennie chytrze.

– O czym?

– O innych, takich jak my, i o nas.

– Faceci tacy jak my – zaczął George – nie mają rodziny. Co zarobią trochę grosza, to zaraz to

przepuszczają. Nie mają na świecie nikogo, pies z kulawą nogą się nimi nie przejmuje.

– Ale my to co innego! – zawołał radośnie Lennie. – Teraz powiedz o nas.

George milczał przez chwilę.

– Ale my to co innego – rzekł wreszcie.

– Bo ja...

– Bo ja mam ciebie, a...

– ...a ja ciebie! Mamy siebie i dlatego pies z kulawą nogą się nami przejmuje! – oznajmił Lennie triumfalnie.

Wieczorny wietrzyk przeciągnął nad brzegiem rzeki, zaszumiał wśród liści, zafalowała zielonkawa toń. Znów dały się słyszeć głosy mężczyzn, tym razem znacznie bliżej.

George odkrył głowę.

– Zdejmij też kapelusz, Lennie – rzekł drżącym głosem. – Powietrze jest takie rześkie.

Lennie posłusznie zdjął kapelusz i położył go obok siebie na ziemi. Wieczór zapadał szybko, cienie w dolinie granatowiały. Od strony zarośli docierał niesiony wiatrem trzask łamanych gałęzi.

– Powiedz, jak to kiedyś będzie – poprosił Lennie.

George nasłuchiwał odgłosów z oddali.

– Popatrz tam za rzekę, Lennie – powiedział po chwili rzeczowym tonem. – Opowiem ci tak dokładnie, że wszystko zobaczysz.

Lennie odwrócił głowę i zapatrzył się na ciemniejące po drugiej stronie zatoczki zbocza gór Gabilan.

– Będziemy mieli małe gospodarstwo – zaczął powoli George. Sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął lugera Carlsona. Odbezpieczył go i oparł uzbrojoną dłoń na ziemi, tuż za Lenniem. Patrzył

na jego kark, tam gdzie kręgosłup łączy się z podstawą czaszki.

Od strony rzeki rozległ się męski głos, odpowiedział mu drugi.

– Mów dalej – prosił Lennie.

George podniósł pistolet; ręka mu drżała, opuścił ją więc z powrotem na ziemię.

– Mów, jak to będzie – nalegał Lennie. – Będziemy mieli małe gospodarstwo...

– Dla królików! – zawołał Lennie.

– Dla królików – potwierdził George.

– I ja będę ich doglądał?

– I ty będziesz ich doglądał.

Lennie zaniósł się radosnym śmiechem.

– I będziemy żyli z tego, co da ziemia?

– Tak.

Lennie odwrócił głowę.

– Nie, Lennie. Patrz tam, za rzekę, jakbyś tam już widział nasze gospodarstwo.

Lennie posłusznie spojrzał we wskazanym kierunku. George popatrzył na pistolet.

Ktoś przedzierał się przez zarośla, słychać było trzask gałązek pod stopami. George odwrócił się w tamtą stronę.

– Mów dalej, George. Kiedy to będzie?

– Już niedługo.

– Ty i ja.

– Ty... i ja. Wszyscy będą dla ciebie dobrzy. Skończą się kłopoty. Nikt nikogo nie skrzywdzi ani nie okradnie.

– Myślałem, że jesteś na mnie wściekły, George.

– Nie, Lennie. Nie jestem wściekły. Nigdy nie byłem na ciebie wściekły i chcę, żebyś o tym wiedział.

Głosy rozbrzmiewały coraz bliżej. George podniósł pistolet i nasłuchiwał przez chwilę.

– Zróbmy to już teraz – powiedział błagalnie Lennie. – Kupmy nasze gospodarstwo.

– Dobrze, już teraz. Kupię tę ziemię. Kupimy ją obaj.

George podniósł broń, wyprostował ramię i zbliżył lufę do karku Lenniego. Ręka mu się trzęsła, ale twarz miał spokojną. Opanował drżenie ręki i pociągnął za spust. Huk wystrzału przetoczył się po górach i powrócił echem. Lennie drgnął, a potem osunął się z wolna na piasek i zastygł w bezruchu.

George wzdrygnął się, spojrzał na pistolet i odrzucił go; luger upadł obok kopczyka popiołu z wygasłego ogniska.

Zarośla rozbrzmiały nagle okrzykami i tupotem biegnących.

– George! Jesteś tam, George? – rozległ się głos Slima.

George siedział wyprostowany na brzegu i przyglądał się swej prawej dłoni, która odrzuciła przed chwilą pistolet. Gromada mężczyzn wypadła na otwartą przestrzeń; na czele biegł Curley. Dostrzegł Lenniego leżącego na piasku.

– Załatwił go, jak Boga kocham!

Podbiegł i przyjrzał się Lenniemu, a potem popatrzył na George'a.

– Prosto w tył głowy – rzekł cicho.

Slim podszedł do George'a i usiadł przy nim, bardzo blisko.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Czasami człowiek musi zrobić coś takiego.

– Jak go załatwiłeś? – zapytał Carlson, stając nad George'em.

– Tak po prostu – odparł George znużonym głosem.

– Miał mój pistolet?

– Miał twój pistolet.

– Zabrałeś mu i po prostu go kropnąłeś?

– Dokładnie tak – rzekł George cicho, niemal szeptem. Wciąż przypatrywał się prawej dłoni, która jeszcze przed chwilą trzymała broń.

Slim trącił go w łokieć.

– Chodź, George. Musimy się napić.

George pozwolił się podnieść z ziemi.

– Tak, napić.

– Musiałeś to zrobić, George – rzekł Slim. – Jak Boga kocham, że musiałeś. No, chodź, idziemy. – Poprowadził George'a ścieżką ku szosie.

Curley i Carlson patrzyli za nimi.

– Ty, powiedz, co do cholery gryzie tych facetów? – zapytał Carlson.
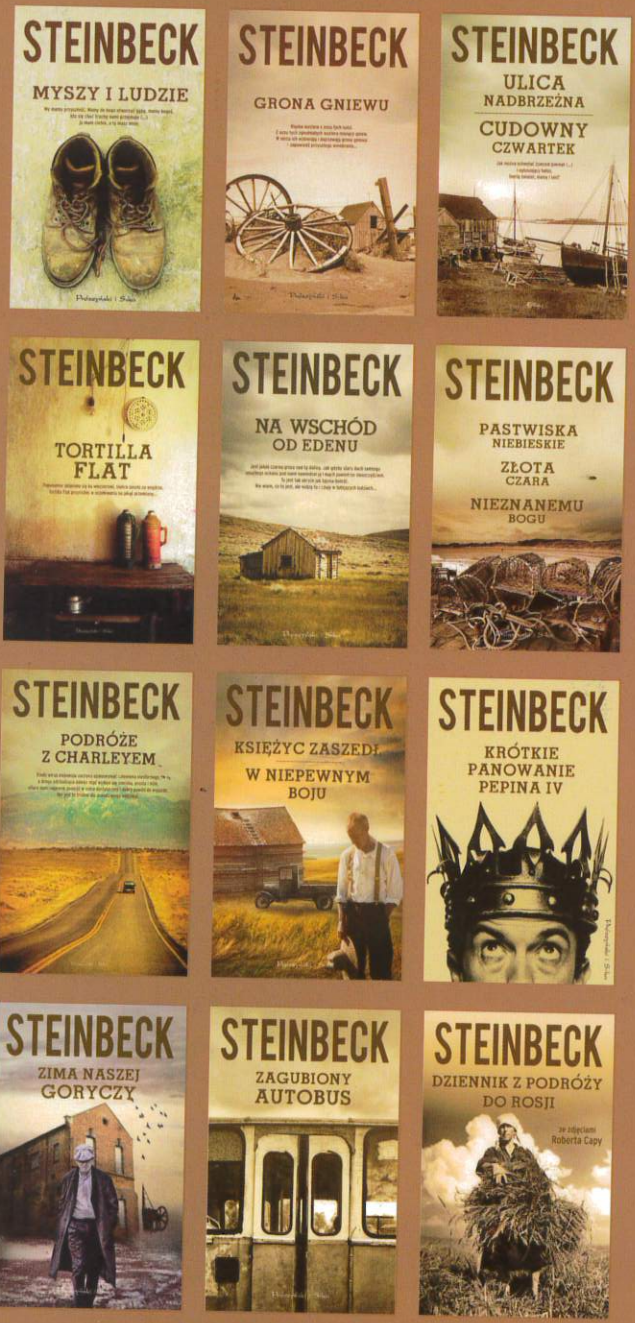
Już w księgarniach: